HENRYK SZOSTY
NA ŁOWACH
KOMEDYA
WE TRZECH AKTACH
z POWIEŚCI ANGIELSKIEY
NAPISANA
Przez Woyciecha Bogusławskiego.

Quid leges sine moribus? ....
Horatius.

W WARSZAWIE

M. DCC. XC. II.

O S O B Y

HENRYK VI. — Krol Angielski.

MILORD RYDYNG — *Synowiec pierwszego Ministra.*

LURWELL — *Służący Milorda.*

FERDYNAND KOKL — *Strażnik lasów Królewskich.*

MAŁGORZATA — *Żona iego.*

RYSZARD — *Syn ich.*

ROBERT — *Młynarz.*

BETSY — *Córka iego.*

KILKU PANOW DWORSKICH.

DWOCH GAIOWYCH.

SŁUŻBA KROLEWSKA.

Scena iest w lesie Szerud, w okolicach Miasta Mansfield, nie daleko Londynu.

HENRYK SZOSTY

NA ŁOWACH

AKT PIERWSZY

Teatr reprezentuie góry skaliste okryte gęstą krzewiną. Na iedney z poniższych stoi Domek Kokla W głębi widać rzekę, na której pływa Młyn spustoszały.

SCENA PIERWSZA.

RYSZARD (*sam*)

(*Siedząc na ułomku skały nad brzegiem rzeki zarzuca często wędkę na ryby, ale zawsze wyciąga prożną. Nakoniec upuscza ią z ręki, i porywa się pełen niespokoyności.*)

Nie, ani iedney nawet płotki złapać nie mogę. Prożno strawiłem całe odwieczerze. Westchnienia głośne, które poniewolnie wychodzą z piersi moich, obiiaią się o skały i odstraszaią ryby od brzegow. — Już niedługo słońce bieg swoy dzienny zakończy, a udręczeniu moiemu nie będzie końca! Noc tysiąc

razy przykrzeyszą iest dla mnie. Jlekroć zmordowane niewczasem zamknę powieki, wyobrażenie Betsy stawa zaraz przedemną, porywam się natychmiast, chcę ią przycisnąć do serca.. ale nic nieznayduię w około siebie, tylko cienie okropne. — O Betsy! cała moia istność zniszczała bez ciebie! — Już to rok minął iak cię bezwstydny uwodziciel porwał z tych lasow, a żaden dzień nie minął, żebym gorzkiemi łzami niezapłakał nad zaślepieniem twoim. Złoto, ta pròżna mamona, bez ktòrey łatwo się obeyść mogłaś w tych mieysca h, także wielkie ponęty miało dla ciebie, żeś dla niego porzuciła Oyca, kochanka przyiacioł i życie pełne słodyczy! — Ale krzywdzę ią może... Nie, nie wierzę temu, aby dobrowolnie wyrzekła się natury i miłości razem. Ten podły zdrayca gwałtem ią porwał zapewne. O gdybym go znał, gdybym wi dział iak się zowie, gdybym mogł dociec mieysca w ktorym ią ukry-

wá, ... ale próżna nadzieia! Obiegłem wszystkie okolice, kilka razy przeszedłem cały niemal Londyn, patrzałem po wszystkich oknach, szpiegowałem po wszystkich kościołach, po wszystkich widowiskach, po wszystkich ogrodach, ..., nie, nigdzie iey widzieć nie mogę. Pasterze tylko nasi widzieli, że iakiś Pan wielki trzymał ią na kolanach w poleździe, i śpieszno uciekał gościeńcem; gdy wpadł w gęstwinę, stracili go z oczu i dotychczas nie wiemy gdzie się obraca. O Betsy, Betsy, iuż cie podobno nigdy widzieć nie będę! (*siada na kamieniu zamyślony.*)

SCENA II.

RYSZARD, GAIOWY.

GAIOWY.

Kłaniam Mospanie Ryszard. Czy zastanę Oyca WPana wdomu? Nasz Oberstraźnik kazał mu donieść, że Krol iu-

tro tu nad rzeką bedzie polował. Dzisiay rzucili sieci od południa, ale sarny wszystkie pierzchnęły na zachod. Król z całym myślistwem pobiegł za niemi, i kto wie, czy nie w Mansfield będzie nocował, bo iuż się słońce zniżaku zachodowi Musze to oznaymić Oycu W Pana.

RYSZARD.

Jest teraz u siebie, zastaniecie go Wasześć.

GAIOWY.

Oy zapewne się Pan Kokl mocno tym ucieszy, bo on sobie dawno iuż życzył, żeby tu Król chciał troche dziki przepłoszyć. Poyde mu opowiem moie poselstwo. (*Odchodzi.*)

SCENA III.

RYSZARD *sam, potym* FERDYNAND i GAIOWY.

Otoż nowe dla mnie boleści? Bede

musiał cały dzień iutrzeyszy Oycu pomagać na łowach, a tak otoczony będę zgraią samych wielkich Panow i ich pochlebcow, ktòrych cierpieć nie mogę. Jle razy tylko Dworskich ludzi zobaczę, zdaie mi się, że w każdym z nich widzę tego bezwstydnego Zwodziciela, ktòry mi wydarł moię kochankę, moiego życia połowę!

FERDYNAND.

(*do Gaiowego z ktòrym wchodzi.*)

Dobrze, dobrze Panie Gaiowy. Powiedz Waszeć Oberstrażnikowi, że się Krol naylepiey w tey stronie ucieszy. Dziki gdyby karmne wieprze przewalaią się pobłotach, i Niedzwiedzie się znaydą. Ale kiedy chcą parkany zarzucać, niechayże ie dziś wieczorem przywlozą, bo iak tylko zrana słonko zabłyśnie, rozchodzą się zwierze na żerowiska. Proszę pokłonić Oberstrażnikowi.

GAIOWY.

Niezapomnię. Nayniższy Mości Panie Kokl.

SCENA. IV

FERDYNAND, RYSZARD

FERDYNAND.

A coRyszardzie, przecieśmy się doczekali choć raz tego szczęścia; że Krol w naszym stanowisku polować będzie. Lat 45. żyię na świecie, 20 lat byłem żołnierzem, a nie miałem ieszcze tey pociechy widzieć moiego Krola, tylko na Portrecie. Kiedym rok cały siedział w Londynie, Henryk chorował długo i powiadaią że się teraz mocno odmienił. Trzeba nam moy Synu dzisieyszy nocy śledzić po lesie dziki i bawoły, żeby mu iak naylepszą iutro sprawić zabawę.

RYSZARD.

Ah! moy Oycze, czemuż serce moie tak srodze iest bolem ściśnione! czemu

wspòlnie z wami niemogę ſię cieszyć tym szczęściem naszym.

FERDYNAND.

Porzuć mòy Synu te prożne narzekania twoie. Czyliż pamięć iedney swawolney dziewki ma ci odbierać czułość na wszyſtkie iene roſkosze? — Jeszcze ci raz powtarzam, co iuż tyle razy słyszałeś odemnie: Kobiety tak daleko tylko szacować należy, iak daleko same ſiebie szacować umieią. Skoro twoia kochanka ſtała ci ſię niewierną, ſtraciła prawo do twego serca, bo mòy Ryszardzie, gdzie niemasz szacunku, tam niemasz prawdziwego kochania, i tylko to ludzie źli mogą kochać rozpuſtne kobiety.

RYSZARD.

Znam ià to, i to samo czuię w mey duszy. Ale ieżeli Betsy gwałtem porwana, muſiała ſię poddać przemocy, mamże ią przeto wyſtępną rozumieć?

FERDYNAND.

Niemasz w kochaniu żadnego gwałtu

mòy Synu, mog'a bydź gwałtem porwaną, uwięzioną, w ścisłym więzieniu zamkniętą, ale żaden gwa't niepotrafi zatrzeć w poczciwym sercu tego wrażenia które natura i miłość sprawuią. Zapomnieć o Oycu bliskim iuż grobu, o kochanku, któremu pierwiastkowe poświęciła uczucia, na to potrzeba dobrey uncyi powszechnego zgorszenia, iakim są zarażone wszystkie miasta stołeczne. Czyż niepowinna była domyślic się tego, że zgrzybiały iey Oyciec przeięty zgryzotą i hańbą umrze z rozpaczy, albo opuści młyn i całą swoię chudobę? — O! nie raz ie yto zapewne stanęło na myśli, co się też i spełniło w istocie. Obeyrzyy się ieno, ten młyn, który niegdyś był przytułkiem szanownego i cały okolicy pożytecznego młynarza, który był raiem ziemskim dla ciebie; . . . patrz iak spustoszały i opuszczony tłucze się tu i owdzie od brzegu do brzegu!

RYSZARD (*przeięty bolem*)

Ah!

F e r d y n a n d.

Niktby może i niepomyślił o tym, żeby błąd iedney niestateczney dziewki przyniosł niewygodę całey okolicy, zgubił poczciwego Starca i uczynił nieszcześliwym młodzieńca, ktòry w niey całe swoie położył nadzieie! Im więcey się nad tym zastanawiam, tym bardziey się nią brzydzę, i iuż nawet nie chcę słyszeć o niey.

R y s z a r d.

Nieuwierzysz kochany Oycze, iak serce moie wawszę ią usprawiedliwia przedemną. Ja sądze, że Betsy czuie te wszystkie boleści, o ktòrych wspomniałeś dopiero, ale pilnie zapewne strzeżona, nie może się wyrwać z szponòw prześladowcy swoiego.

F e r d y n a n d.

Nie wierzę ia temu. Gdyby chciała, upatrzyłaby przez tak długi czas sposobność wymknięcia się iemu, uciekłaby do nas, a przynaymniey uwiadomiełaby

nas gdzie ſię znayduie. Ale nie uczyni tego zapewne. Rozpuſta wielkiego Swiata, nader mocne ma wsobie ponęty. Już ona do tych czas nie tylko zapomniała o tym czym ſię urodziła, ale może nawet zaparłaby ſię teraz własnego Oyca, a tym bardziey kochanka, ktòry niczym nie ieſt, tyko Synem iednego Strażnika. Moy bracie! ta twoia ſiermięga w odludnych lasach dobrze ſię wydaie, ale w oczach wielkiego Swiata upodla iſtotę naypoczciwszego człowieka.

RYSZARD.

Czy podobna, ażeby z samego ubioru sądzono o ludziach?

FESZARD.

O moy Ryszardzie! tam gdzie wkosztownych hawtach błyscząca zbrodnia przewodzi, rzadko ſię trafia, żeby prawdziwa cnota nie żebrała pod murem.

RYSZARD.

Jednakże Betsy, ktòra całą młodość swoię ſtrawiła między ludzmi dalekiemi

od zdań podobnych, ktora cnotliwie wychowana, kochała czystość obyczaiow, nie podobna aby się tak prędko odmienić miała.

FERDYNAND.

Tak prędko? Jeden miesiąc dosyć iest na zepsucie serca, nie maiącey doświadczenia dziewczyny, a ona rok iuż cały żyie wtey otchłani. — Nie znasz ty ieszcze iak łatwo występek wpływa do duszy, osobliwie kiedy ci ktòrzy chcą dziewczynę, wdrożyć do zbrodni, okrywaią się sztucznie płaszczykiem cnoty. Nie widziałeś ty ieszcze tych modnych Filozofow, tych wystroionych świętoszkòw, ktòrzy całą swoię umieiętność i chlubę záłożyli na tym, iakby omamić i uwieść każdą kobietę. Nie masz tam obrotu, sprężyny, intrygi, ktòrychby na to nieużyto. Attencye, i pochlebstwa, pochwały, przysięgi są to ich pierwsze manewry. Daley, idą obietnice, protekcye Panòw, dary, stroie kleynoty, parady,

pałace, ekwipaże, widowiſka i wszelkiego rodzaiu zbytki. Doday do tego wròdzone ułomności kobiet: miłość własną, ambicyą, zazdrość, zemſtę i chęć brylowania, a ktożby u diabła oparł ſię tylu pokusom? Ja sam dalibòg gdybym był kobietą, podobnobym ſię dał zbałamucić.

RYSZARD.

Nie wszystkież przecie kobiety muszą bydź tak łatwe mòy Oycze. Stryienka moia naprzykład, chociaż to iey mąż ieſt Szerżantem w Królewſkiey Gwardyi i zawsze w Londynie mieszka, bardzo ſię uczciwie rządzi i żyie przykładnie.

FERDYNAND.

Twoia ſtryienka mòy Synu! ieſt bardzo zacna gospodyni, ale ktòraż też kobieta w 60 roku nie ieſt spokoyna? — Powiadał mi iednak pod sekretem ieden Kapral z tey samey kompanii, że kiedy była młoda twoy kochany Stryiaszek częſto bardzo więcey coś ſnoſił, na gło-

wie niźli swoią grenadyerſką czapkę Oy kobiety zawsze są kobiety, i poki tylko będą kobietami, poty. .. ey daymy im pokoy i mowmy raczey o niedzwiedziach i dzikach, z ktòremi łatwieysza sprawa. No, iutro tedy mòy Synu! wſtaniemi rowno ześwitem i . . . . Ale czegoż ſię znowu wraca ten gaiowy?

SCENA V.

Ciżi GAIOWY.

GAIOWY. *(biegnąc zdyszany)*

AH! przepraszam bardzo Mośpanie Ryszardzie. Zapomniałem na wieki, że mam do WPana także poselſtwo. Dopierom sobie o pòł mili przypomniał, i muſiałem nazad cwałować, nie chcąc WPanu zawodu uczynić.

RYSZARD.

Coż takiego masz Waszeć do mnie?

GAIOWY.

Oto Dworzanin iakiś posłyszawszy,

że mnie tutay wyprawiano, zawołał mnie na ſtronę i z wielką oſtrożnością wściubił mi w rękę maliński bielecik, prosząc bardzo aby był oddany Ryszardowi Synowi Kokla Strażnika, a że dodał dotego dwa szelingi za fatygę, za czym proszę W Pana odebrać. *(szuka po torbie i nieznayduie biletu.)* A dalibog wszak ia go zgubiłem.

FERDYNAND.

No toś niedarmo powracał pół mili

RYSZARD.

Może go gdzieindziey włożyłeś? *(na. stronie.)* Ah! niewiem dla czego serce mi ſtraszliwie biie!

GAIOWY.

Gdzieindziey? *(przypominaiąc s pie)* Aha, przypominam sobie, za kapelusz go wetchnąłem *(wyymuiąc)* Oto ieſt, prosze W Pana.

RYSZARD.

(Odbiera list i spoyrzawszy na podpis krzyknie z poruszeniem.)

Ah! co widzę? Wszak to od niey, po-

znaię dokładnie iey rękę. *(otwiera list raptownie i czyta.)*

GAIOWY.

Czy od niey? oy musi bydź od niey nie od niego, bobyście go Waszeć tak nie pożerali oczyma. Ani chybi iaka Pani ładna, polubiła W Pana, iakeście kilka razy wędrowali po mieście i pisze teraz do was. Oy bo to te Panie w Stolicy opętanie lubią świeżą zwierzynę. Kłaniam, nie przeszkadzam, życzę dobrego szczęścia, ha, ha, ha. *(odchodzi smieiąc się mocno.)*

SCENA VI.

FERDYNAND, RYSZARD

RYSZARD. *(przeczytawszy z prędkością bilet.)*

AH! nieomyliłem się, przeczucia moie sprawiedliwe były. To od niey, słuchay Oycze co ona pisze, *(czyta)*,, ,,Naymilszy Ryszardzie! — a Przekona-

„ łam się nakoniec, ale nadto' póżno
„ niestety! że prawdziwa szczęśliwość
„ znayduie się w stanie, do ktòrego nas
„ przeznaczyła Opatrzność. Dałam
„ się wykraść jednemu Młodemu Mi-
„ lordowi, ktòry obietnicą Małżeństwa
„ zaślepił oczy moie. Przez rok cały od-
„ włòczył zdrayca dopełnienie przyrze-
„ czeń swoich, i nareście dał mi poznać,
„ że całym moim udziałem ma bydź hań-
„ ba, ktòrą mnie okrył. Teraz dopie-
„ ro spadła zasłona omamienia z mych
„ oczu, i powrociła mi pamięć niewin-
„ nych roskoszy, ktòrych doznawałam na
„ łonie Oyca i poczciwego kochanka.
„ Czuię zgryzoty sumienia, brzydzę się
„ sama sobą i tym szkaradnym miey-
„ scem w ktòrym żyię. Uciekam ztąd
„ iutrzeyszey nocy, a że nieśmiem się
„ pokazać Oycu moiemu, przyidę nay-
„ przod prosić twoiey matki aby go
„ przebłagać chciała. Nie odmawiaycie
„ litości

„ litości opuszczoney sierocie, ktòra z
„ żalu u nòg waszych umierać pragnie.
„ Ta iest ostatnia nadzieła, ktòrą się
„ ieszcze cieszy twoia nieszczęśliwa,
„ ale zawsze cię kochaiąca Betsy. „

FERDYNAND (*podrzeźniaiąc.*)

„ Zawsze cię kochaiąca Betsy!„ można mowić śliczne kochanie!

RYSZARD.

Nie... trudno mi iest wierzyć, żeby mnie tym pismem oszukiwać chciała. Wyrazy te są dowodem iey żalu, a ieżeli w iey sercu choć cząstka ieszcze została tey miłości, ktòrą ia dla niey czuię do tych czas, to mam nadzieię, że się poprawi na potym.

FERDYNAND. (*żartuiąc.*)

O tak, poprawi się zapewne!

RYSZARD.

I wyż otem wątpicie Oycze!

FERDYNAND.

Bynaymniey — O biedny głuptasie! iakże ty łatwem iesteś do oszukania! —

Niedomyślasz ſię więc co znaczą te wszyſtkie patetyczne morały i oświadczenia? Oto kaprys momentalny, chimera, znudzenie które zbyteczna roſkosz ciągnie zwyczaynie za sobą. Pokłociła ſię może z swoim Amantem, a wpierwszym gniewu zapędzie wyrzekła sama doſiebie: „ Ucieknę od niego, na złość „ mu zrobię, niechay pòzna niewdzię„ cznik że mnie nie umiał szanować;„ ale wgodzinę przybiegł Laufer od Milorda z słodkiem bilecikiem, a dodaiąc wagi wyrazom miłośnym położył na ſtole 500. Gwineiòw i pierścień kosztowny, aż natychmiaſt Jmościenka uśmiechnęła ſię wdzięcznie, wſiadła do karety, poiechała do swego Amanta i zapomniała o tym że ty żyiesz na świecie.

RYSZARD.

Przeczucia iednak iakieś zapewniaią mnie, że powròci do nas.

FERDYNAND.

O tak powroci, zapewne powròci.

Zdeymie kosztowne ubiory, wdzieie grubą kieckę na siebie, wyrzecze się smacznych łakotków, ażeby ieść rzepę suszoną. Zruci paryskie trzewiki, a boso poydzie z chustami do wody, a to wszystko dla twoiey miłości! O szczęśliwy Ryszardzie! (*Oglądaiąc się*) Oto tylko co iey niewidać. — Ale, ale Wszak podobno pisze w swym liście „U„ciekam ztąd dzisieyszy nocy.„ Obaczmy też datę iey listu.

R Y S Z A R D. (*otwiera list i czyta.*)

Z Londynu dnia 2. Września.

F E R D Y N A N D.

A dziś mamy iuż siodmy. (*smieiąc się mocno.*) Day go diabłu iakże długo te dwie mile idzie!

R Y S Z A R D.

Dłużey iuż wytrzymać niemogę i natychmiast sam poydę do niey.

F E R D Y N A N D.

Dokąd?

RYSZARD.

Do Londynu.

FERDYNAND.

A gdzież ią znaydziesz?

RYSZARD.

Wszak pisze, że ieſt u iakiegoś Milorda.

FERDYNAND.

U iakiegoś, ale nie napisała u którego, i w tym także dosyć miała oſtrożności potrzebney. — Chcesz wyſtawić ſię na pośmiewiſko całego miaſta, chcesz obiegać Pałace wszyſtkich Milordow i od bramy do bramy pytać ſię nadętych Szwaycarow. „Czy nie tutay mieszka „Metressa iakiegoś Milorda, nazwi„ſkiem Betsy, moia niegdyś kochanka, „która ſię dała wykraść od Oyca?„ Fe.. wſtydź ſię mòy Synu! ieſteś nieznośnie głupi.

RYSZARD.

Ah wiem co uczynię. Poydę proſto do

Gałowego który tu przeieżdżał, ten pokaże mi Dworzanina, który mu oddał ten bilet, a od tamtego dowiem się gdzie Betsy mieszka. (*chce iść.*)

FERDYNAND.

Co chcesz czynić? zatrzymay się ... ale cicho. Spostrzegam iakiegoś Dworaka, który uwiązał konia u drzewa i idzie tu ku nam.

RYSZARD. (*patrząc w las.*)

Cóż to znaczy? Patrzayno Oycze iak on z pomiędzy krzaków skrada się pomału.

SCENA VII.

FERDYNAND, RYSZARD, LURWELL.

LURWELL.

(*Skrada się ostrożnie z krzaków, upatruie po wszystkich stronach, nareście spostrzega Ferdynanda z Synem i woła na nich zdaleka.*)

HEy przyiaciele! czy tuteysi iesteście?

FERDYNAND.

Tuteysi Mospanie. Czegoż W Panu potrzeba?

LURWELL. (*zbliżaiąc się ku nim.*)

Powiedzcie no mi, czy nie należy ta chałupa do młyna, w którym mieszka stary Młynarz Robert.

RYSZARD.

W cale nie. Już tego staruszka tu niema. Przeniosł się do miasteczka Mansfield, a młyn iego opuszczony pustkami stoi.

LURWELL.

Do Mansfield? tam do kata za nic moie szukanie. (*na stronie.*) Ona zapewne wie iuż otym i poszła prosto do Oyca.

FERDYNAND.

A kogoż to W Pan szukasz, niech się spytać godzi?

Lurwell.

Moi bracia, przyznaycie mi ſię szczerze, czy nie ieſteście czasem przyiaciołmi tego młynarza, o ktòrym wspomniałem.

Ryszard. (*cicho do Oyca.*)

Ah! coś wtym ieſt mòy Oycze.

Ferdynand.

Nie mòyPanie,my tu niedąwno mieszkamy i; tylkośmy słyszeli, że przed rokiem był tu iakiś Robert wtym młynie. (*cicho do Syna.*) Zmyślaymy, dowiemy się wszyſtkiego.

Lurwell.

Nie dawno tu mieszkacie? (*na stronie*) To zapewne nie oni, (*głośno.*) Ale muſicie znać przynaymniey tuteyszego ſtrażnika Kokla i iego Syna Ryszarda?

Ferdynand. (*cicho do Syna.*)

Nie daymy ſię poznać. (*głośno.*) O iuż go dawno z tąd wyforowano. Był to mòy wielki nieprzyiaciel,ale wygryzłem

go ztąd, i iestem teraz to samo co on.

LURWELL.

O kiedy tak, to dobrze. Ponieważ nie znacie Roberta a Kokla nieprzyiaciołmi iesteście, mogę wam się bespiecznie zwierzyć pewnego sekretu, w ktòrym ieżeli mi zechcecie dopomodz wielka was nadgroda czeka.

FERDYNAND.

Chętnie bardzo.

RYSZARD.

Bardzo chętnie. Còż nam W Pan rozkażesz?

LURWELL.

O to macie wiedzieć, że szukam w tym lesie iedney dziewczyny ktòra uciekła wczoraysżey nocy od moiego Pana z Londynu. Jest to còrka tego Roberta o ktòrym wam wspomniałem. Pan mòy wykradł ią był z tych lasòw, i cały rok była Metressą u niego, szukaliśmy iey na darmo po całym Londynie, dziśiay rozbiegli się szpiegi na wszystkie

ftróny, a mnie tutay wysłano rozumie-iąc, że poydzie do Oyca. 200. Gwineòw obiecane są temu ktòby ią złapał. — Wiecież co, trzeba nam tu sobie po miniftrowfku poftąpić, i te 200. Gwineòw tak sztucznie zacapić, żeby fie nawet niezdawało że do naszey weszły kieszeni. Wy co tchu pośpieszcie do Mansfield, ażeby uprzedzić innych posłańcòw. Jeżeli tam złapiecie Betsy trzymaycież ią wiakim mieyscu dobrze zamkniętą. Ja nie mam rofkazu daley iechać iak do tego domu, muszę fie więc powracać do Pana, ktòry o pòł mili czeka na mnie wtym lefie, ale iak tylko zdam mu raport, iż tu niema Kokla, a Robert znayduie fie w Mansfield, Milord ani chybi pośle mnie zaraz do niego. Ja tedy galopem przybiegnę do was. Przywiozę Milordowi iego dezerterkę, i 200. Gwineòw capnę do kieszeni. — *(postrzegaiąc się niby)* ... ktòremi fię zwami wiernie podzielę.

FERDYNAND.

Po miniſtrowſku zapewne?

LURWELL.

Bynaymniey. Doſtaniecie obydwa po pięćdzieſiąt....

FERDYNAND.

Bizonòw ktòre nas nie miną zapewne ieżeli Robert uda ſię do Zwierzchności o nayście domu iego, i wyrządzony gwałt publicznemu bezpieczeńſtwu.

LURWELL.

A co tam bzdurzysz mòy bracie, mòy Pan iak brząknie workiem, sprawiedliwość ogłuchnie natychmiaſt.

FERDYNAND.

A gdy Robert poda suplikę do Kròla?

LURWELL.

Gdyby ich ſto podał, wszyſtkim w locie łby poukręcamy. Milord ieſt Synowcem pierwszego Miniſtra, sądź więc ieżeli Supplika przeciwko niemu może kiedy doyść do rąk Kròlewſkich.

FERDYNAND.

Jakże ſię ten W Pana Milord nazywa?

LURWELL.

Nazywa ſię Milord Rydyng. Pan wielki i nieźmiernie bogaty.

FERDYNAND.

Milord Rydyng? muszę sobie to imie napisać. (*Wyimuie pugilares i zapisuie sobie.*)

RYSZARD.

Żebyśmy wiedzieli iak W Pana pomyślnie usłużyć w tey mierze, powiedź nam proszę, iakim sposobem Milord doſtał tey dziewczyny do ſiebie? Czy ią gwałtem porwano, czy też dobrowolnie poszła do niego?

LURWELL.

W tym was doſkonale uwiadomić nie mogę, bo natenczas ieszcze nie byłem w służbie u moiego Pana. Powiadano mi tylko, że Milord miał wielkiego faworyta Koniuszego, który przypadkiem poznał ſię z tą dziewczyną tu na polowaniu, a widząc ią bardzo nadobną chciał ſię z nią ożenić w nadziei, że puściwszy ią na rzęszoto modnego świata, dorobi

ſię przy niey wielkich maiątkow. Że zaś dziewczyna nie chciała przyiąć iego ręki, przez zemſtę wskazał ią swoiemu Panu, ktòry ieſt dziś naypierwszym zwodzicielem w Londynie. Upatrzywszy tedy dzień ieden kiedy Oyca nie było w domu, wpadli obydwa do Młyna, i iuż to obietnicami iuż gwałtem, nakłonili ią że ſię dała wykraść.

R y s z a r d. (*na stronie.*)

O Nieba!

F e r d y n a n d.

Jeżeli sama ſię dała namowić, dla czegoż uciekła od Pana? Niemuſiało iey zapewne zbywać na niczym?

L u r w e l l.

Jey zaś zbywać miałoby na czym? Ha moy Panie niewiem ieżeliby iey w Saramoy Panie niewiem ieżeliby iey w Saraiu wielkiego Sułtana lepiey bydź mogło. Toć to tam złoto iak grad padało do niey. Ot zwyczaynie proſtaczka; . . . a w czym też sobie iuż nayglupiey poſtąpiła to wtym, że uciekaiąc, zoſtawi-

ła wszyſtkie prezenta, brylanty, pieniądze, które miała od Pana, zabrała tylko iakiś papier, który Milorda naywięcey odchodzi, bo w nim ma ſię znaydować przyrzeczenie małżeńſtwa na piśmie, które iey dał chcąc ią oszukać.

FERDYNAND.

Muſiała iednakże mieć iakowyś powod do tey ucieczki?

LURWELL.

Mòy Pan domyśla ſię, że to uczyniła dla miłości swoiego Amanta, kochała ſię bowiem w synie owego Kokla Strażnika, o ktòrym wam wspomniałem.

RYSZARD, *(pokrywaiąc radość.)*

Czy podobna? co W Pan mowisz? dla miłości swego Amanta miało to uczynić!

LURWELL.

Tak mowią, ale bardzo głupio sobie poſtąpiła, bo to miał bydź strasznie niezgrabny oſieł parobczyſko.

FERDYNAND, (*patrząc misternie na Ryszarda.)*

Jak W Pan mòwisz? niezgrabny osieł, parobczysko?

L U R W E L L.

Oyciec zaś iego miał bydź gdyracz nieznośny.

RYSZARD, *(spoglądaiąc podobnież na Oyca.)*

Jak W Pan mowisz? gdyracz nieznośny?

L U R W E L L.

Jego mi się też Pan naybardziey wystrzegać kazał, bo iak mu powiadano, ma bydź zuch straszny. Długo służył za żołnierza, i nikomu sobie nieda grać na nosie. Opisywano mi go dobrze z fizognomii, abym go mogł poznać. Jest chudy czarno zarasta i ma krysę na pysku po lewey stronie, ktòrey dostał na woynie .. *(spostrzegaiąc na twarzy krysę u Ferdynanda)*

Ale czy mi się zdaie, podobno i W. Pan masz takze krysę po tey samey stronie?...

F E R D Y N A N D.

Nie, to mnie niedawno Niedzwiedź zadrasnął po gębie.

LURWELL.

Ną, niebawmy więc dłużey. Wy spieszcie się czym prędzey do Mansfield, a ia powracam do Pana. Sprawcie się tylko obrotnie a pewne będą dukaty. Adieu. *(odchodzi.)*

FERDYNAND.

Spuść się W Pan na nas sprawiemy się po ministrowsku.

SCENA VIII.

FERDYNAND, RYSZARD, *potym* BETSY.

FERDYNAND. *(po odeyściu Lurwella.)*

POczekay obiesiu, postąpię ia z tobą po ministrowsku. Daley Ryszardzie ponieważ wiemy teraz iak się ten, zdrayca Milord nazywa, znaydziemy przecież sprawiedliwość na niego. Jutro sam upadnę Krolowi do nóg i opowiem całą historyą. Henryk iest dobrym Monarchą, wysłucha mnie i ukarze zapewne tak czarny postępek, ba i czemużby

nie miał ukarać? Alboż Król niema bydź sprawiedliwym Sędzią występnych, a podporą skrzywdzonych?

RYSZARD.

Co słyszę? Ah! mòy Oycze chcesz się więc teraz do mojego losu przyłożyć, nie iesteś iuż więcey nieprzyiacielem Betsy?

FERDYNAND.

Mòy Synu, pòki twoia Betsy występną była wmych oczach, nienawidziłem ią na ów czas, ale kiedy chce znowu powrocić do cnoty, mam wzgląd na słabość ludzkiey natury. Człowiek poczciwy powinien bydź zawsze nieprzyiacielem zbrodni, ale należy się podać rękę ludzkości kiedy z upadku powstaie. *(Tu wychodzi Betsy z lasu, a postrzegłszy ich obydwoch, zbliża się ku nim pomału z wielką nieśmiałością.)* Idźmy Ryszardzie. Ty wsiaday na konia i iedź śpieszno drogą ku Mansfield, ia zaś zaczekam tu na wielkim gościeńcu i pilnować będę, aby iey nieschwytano, ieżeliby czasem ucie-

kła w te ſtrony. (*chcą odeyść obydwa; a w tym spostrzegaią Betsy.*) Ryszard, (*przelęknięny.*)

Ah! co widzę to ona!

B e t s y.

(*która między obiema pada na kolana.*)

Zatrzymaycie ſię i raczcie rzucić okiem na nieszczęśliwą ſierotę.

Ferdynand, (*uchylaiąc kapelusza.*)

Nayniższy sługa Jmości Dobrodzieyki.

R y s z a r d:

Ah! Betsy ciebie ia to oglądam!(*podnosząc ią:*) Wſtań wznieś te oczy, których spoyrzenia tak wielką niegdyś przemoc miały nad sercem moim.

B e t s y.

O Ryszardzie! po tey ſtraszliwey obeldze iaką miłości twoiey wyrządziłam, nie mogę spoyrzeć na ciebie bez zawſtydzenia. Nieśmiem i przyſtąpić do was.

R y s z a r d.

A ia widząc cię w tym ſtroiu, nie-

śmiem nawet wierzyć, że ieſteś corką ie-
dnego młynarza, a tym bardziey, żeś
mnie kiedy kochała. O moy Boże, iak
to iedno marne odzienie rożnemi nas od
ſiebie czyni! Ja nic podobnego dać ci nie-
mogłem, serce tylko iedno miałem peł-
ne miłości, to całe było dla ciebie, to w
tobie i przez ciebie iedynie żyło. Nieſte-
ty! ieden moment naysłodsze moie po-
targał nadzieie!

BETSY.

Zasłużyłam na te wyrzuty, warta ie-
ſtem twoiey pogardy, ale miley wzgląd
na moie boleści. O gdybyś wiedział mòy
Ryszardzie, iak tyſiącznych, a mocnych
ſideł używa zbrodnia na podeyście nie-
winney proſtoty, wybaczyłbyś niedo-
świadczeniu moiemu. Ale nie, niepowi-
nieneś tego uczynić. Litości tylko że-
brzę od ciebie, znam bowiem, żem prze-
baczenia nie warta, ani go ſię spodzie-
wać mogę. Jedyna łaſka o ktòrą was pro-
ſić ośmielam ſię, ieſt: abyście mnie za-

prowadzili do nòg oyca moiego, i wſtrzymali przekleſtwa, ktòre sprawiedliwie rzucić może na niewdzięczną swą corkę (*do Ferdynanda*) Do ciebie w tym proźby moie obracam. Ty, ktòry miałeś bydź drugim oycem moim, pogodź mnie z naturą, przynieś ulgę zgryzotom nieszczęśliwego ſtarca, wracaiąc na łono iego, còrkę żałuiącą wyſtępkòw swoich. Ty byłeś zawsze więcey niż przyiacielem iego, ty prawie bratem iego byłeś; coby odmòwił łzom moim, nieodmòwi czułey iego przyiaźni. Weź mnie w opiekę, a Bòg nadgrodzi litość twoią dla mnie! — Ale coż to? odwracasz oczy, niechcesz nawet i spòyrzeć na mnie?

FERDYNAND, (*zimno.*)

Witamy Jmość z wędrowki.

BETSY, (*we łzach cała załamuiąc ręce.*)

Nieſtety! iuż więc ſtraciłam wszyſtkie nadzieie na ziemi, hańba tylko wſtyd ma bydź odtąd udziałem moim! (*padaiąc na kolana.*) Ah! przez ten ſtrumień łez rzewnych, zaklinam cie mòy

Oycze! nie odrzucay mnie od ſiebie. O! gdybyś wiedział iak ſtraśliwą ieſt dla serc wyſtępnych męczarnią ta wzgarda poczciwych ludzi! — Nieodſtąpię od ciebie, umrę u nòg twoich, ieżeli mi przebaczyć nie zechcesz.

RYSZARD.

Ah! oycze mòy, możesz bydź tak okrutnym!

FERDYNAND.

Nieszczęśliwa! patrzay iak daleko wyſtępek upodla człowieka, kiedy go przymusza, aż do czołgania ſię u nòg podobnego sobie ſtworzenia! — Wſtań dosyć iuż tych szlochòw. (*do Ryszarda.*) Przeſtańże i ty krzywić tę swoią gębę, bo czuię, że i iał ym ſię nie długo rozbeczał. No iuż ſię ſtało, zapomnieymy o wszyſtkim. Zaprowadzę cię do twego Oyca, ale zrzuć mi zaraz te czartowſkie odzienia ktoremi rzadko kiedy cnota ſię okrywa. Powiedź matce, żeby iey swoiey kiecki pożyczyła. Niechay iey Oyciec nie widzi w tym ſtroiu, mogł-

by się bardziey stać nieprzebłaganym.

BETSY. (całuiąc go w rękę.)

Ah! wszystko uczynię, co mi tylko rozkażesz mòy Oycze.

FERDYNAND. (wydzieraiąc się.)

Nie całuyże mnie w rękę moia kochana, bo zaraz mi się zdaie że u dworu iestem, gdzie cię z iedney strony całuią, a z drugiey kolą.

RYSZARD.

Niebawmy się dłużey mòy Oycze! Wszak wiesz, że iey szukaią wszędzie. Gdyby przypadkiem napadli tu na nas szpiegowie, zginęlibyśmy na zawsze.

BETSY, (przelękniona.)

Co mòwisz? szukano mnie tu?

FERDYNAND.

Tak w samey rzeczy, ale nie obawiay się niczego. (tu słychać hałas.) Cóż to iest? zdaie mi się, że tentnienie koni

słysze na gościńcu. Obaczmy ieno. *(idą wszyscy w głąb sceny.)*

RYSZARD.

Co widzę? Wszak to ten sam dworzanin, który tu był, iedzie i z drugim iakimsiś Panem. Ah! zapewne to Milord!

BETSY, *(poznaiąc Milorda z krzykiem)*

Przebóg! to on sam! O Boże! zakryy mnie przed iego wzrokiem!

FERDYNAND.

Bież do chałupy i schoway się do alkierza. Ty Ryszardzie idź za nią, zamkniy drzwi na zamek i podeprzyy dylemześrzodka. Ja tu na pikiecie zostanę i wystrzymam ten pierwszy attak. *(Betsy wpada do chałupy, Ryszard, zamyka gwałtownie drzwi za sobą.)*

SCENA IX.

MILORD, LURWELL, FERDYNAND,

LURWELL, (*który wypadaiąc przed Milordem postrzega ieszcze wchodzącą do domu Betsy.*)

O To ieſt, oto ieſt Mośći Dobrodzieiu.

MILORD.

Tak ieſt, ona sama, poznałem ią od razu; w tych nawet sukniach uciekła.

LURWELL. (*do Ferdynanda*)

A co? gdzieście ią złapali? zapewne tu sama przybiegła?

FERDYNAND.

Kto taki?

MILORD.

Ta dziewczyna, ktòra wpadła do domu tego, wszak to ieſt Betsy?

FERDYNAND.

Jaka Betsy?

LURWELL.

Còrka tego młynarza, o ktòrym wam mòwiłem. Ta sama co uciekła od moiego Pana.

FERDYNAND.

Nie, to nie ona.

MILORD.

Jako zuchwalcze! śmiesz ią przedemną zapierać? Alboż ia to doskonale iey nie znam?

FERDYNAND.

Tey, ktòra iest teraz u mnie, nieznász W Pan zapewne.

MILORD.

Jest to ta sama, ktòrą wziąłem z tych lasòw, i przez rok cały trzymałem u siebie.

FERDYNAND.

Otoż to właśnie nie ta sama. Tamta była Betsy występna, żyiąca w zgorszeę

niu i wspolnica W Pana nierządu, a to iest Betsy żałuiąca swych zbrodni i powracaiąca do cnoty.

M i l o r d.

Coż widzę po minie tego zuchwalcá, że chce sobie zemną żarciki ſtroić, (*do Lurwella*) Idź do chałupy i przyprowadź mi ią natychmiaſt.

L u r w e l l, *(chcąc iść do domu.)*

Dobrze Mości Dobrodzieiu.

F e r d y n a n d, *(biorąc go za piersi.)*

Jeżeli mi iescze krok ieden poſtąpisz, uduszę cię iak kota.

M i l o r d, *(ze złością.)*

A còż to ty śmiesz robić niegodziwy hultaiu. . .

F e r d y n a n d.

Hultaiu! . . . Mospanie, proszę ſkromnieyszych używać wyrazow. Ja ſię hultayſtwem nie bawię. Służę Kròlowi i ieſtem ſtrażnikiem tych lasòw.

MILORD.

Jak się nazywasz?

FERDYNAND.

Ferdynand Kokl, niegdyś Sierżant połkuHrabiego de Winczester, czego oto ieszcze noszę dowody, *(pokazuiąc mu medalik na wstążce.)*

LURWELL. *(na stronie.)*

Ah! to ten sam. O filut iakże mnie oszukał!

MILORD.

Rozumiesz ty więc śmiałku, że ten medalik daie ci prawo tak zuchwale się stawiać ludziom moiey dystynkcyi? A wiesz ty zkim masz do czynienia?

FERDYNAND.

Widzę, że W Pan masz oczy, nos, gębę i całą postać do moiey podobną, a ztąd wnoszę, żeś człowiek taki iak ia.

MILORD.

Wiedzże otym zuchwały trefnisiu, że iestem Milord Rydyng, Synowiec ministra.

FERDYNAND.

A co tego wcalebym się nie był domyślił, chyba z tych kosztownych ubiorów, które W Pan dzwigasz na sobie. Ale przyodziey tylko niemi swoiego służalca, a zobaczysz ieżeli iaka między wami będzie różnica.

MILORD.

A iuż też nadto tey zuchwałości. Poczekay, nauczę ia ciebie niegodziwy hultaiu, co to iest respekt dla osòb moiego stanu.

FERDYNAND.

Mospanie. . . proszę W Pana niechże ten wyraz hultaia ostatni iuż raz od niego słyszę. Winien iestem W Panu respekt iako osobie wyższego stanu, ale rozumiem, że ci go w niczym nieuwłoczę, kiedy mowię, że iesteś człowiekiem do mnie podobnym. Czyliż masz bydź pòł bogiem w mych oczach, dla tego, że iesteś bogatym! — Wreście gniewayʼ się W Pan iak chcesz muszę ci powiedzieć

prawdę! Zołnierz ktòry lat 20. dzwigał karabin na plecach, okryty bliznami ran, ktòre odebrał zasłaniaiąc piersiami Oyczyznę, wart iest zdaiemi się iednego pysznego młokosa, ktòry pròcz zbytkòw i zgorszenia obyczaiòw, nic więcey nie przyniosł swemu Kraiowi.

M i l o r d.

A iuż też to przechodzi wszystkie granice. Do iutra, do iutra sprawa, Mospanie śmiałku. Wylecisz mi ty zaraz z tego strażnikowstwa.

F e r d y n a n d.

Mnieysza oto. Niebędę więcey oglądał podobnych W Panu.

M i l o r d, (*chcąc weyść do domu.*)

Ustąp się z drogi natychmiast, rozkazuię ci imieniem ministra.

F e r d y n a n d.

Minister żadnego gwałtu wdomu moim czynić nie może. Jestem człowiek wolny, ta ziemia, na ktòrey stoię, iest

moia własna, kupiłem ią sobie i kiedy potrzeba będzie pokażę tego dowody.

MILORD, (*dobywaiąc pałasza.*)

Precz mi z tąd mówię, bo ten pałasz w piersiach twoich utopię.

FERDYNAND.

(*porywaiąc się do pistoletu.*)

Mospanie, zaklinam W Pana, niechciey mnie przymuszać do tego, ażebym cię nareście przekonał, że nie iesteś niczym więcey tylko człowiekiem. Ta kula rownie Milorda iak i ostatniego żebraka trupem położyć może.

MILORD.

Jako tybyś śmiał do mnie wystrzelić, ty łotrze, hultaiu, szubrawcze. . .

FERDYNAND, (*naciągaiąc kurek.*)

Mospanie. ... niewytrzymam dłużey,

MILORD, *odstępuiąc od niego.*)

Dobrze, dobrze, będziesz ty wisiał za to, zboyco ty leśny. . . . (*tu widząc*

błyskawicę w obłokach.) Ale cóż to ieſt? zdaie mi ſię że błyſka na Niebie!

L U R W E L L, *(przelękniony.)*

I mnie ſię to samo zdaie! *(Tu się znowu błyska i słychać grzmot.)*

M I L O R D, *(z wielkim przestrachem.)*

Przebog! co słyszę? grzmoty? — ah! Lurwell umieram.

L U R W E L L.

Uciekaymy ztąd czym prędzey. Pan ſtraśliwiey boisz ſię piorunów, a one nayczęściey w lasach zwykły uderzać.

F E R D Y N A N D, *(śmieiąc się.)*

Coż to ieſt? Jegomość ſię grzmotów obawia? ha, ha, ha. A w cóż ſię obrócila owa wielkość więcey niż ludzka? — Milordowie niepowinniby ſię i piorunów nawet obawiać, ponieważ takie półbożki i nadpowietrznym rzeczom rozkazywać mogą. Ale schoway W Pan ten pałasz, iego oſtry koniec mogłby iak kon-

duktor na wieżą, ściągnąć na głowę W Pana pioruny, *(tu się znowu błyska i piorun uderza.)*

M i l o r d,

(z krzykiem upuszczaiąc pałasz na ziemię.)

Ah! nieszczęśliwy! podobno zabity iestem? *(chowa głowę na piersi Lurwella.)*

F e r d y n a n d.

Nic to nic, to tylko żarty. Tu tego tysiącami uderza w te skały.

L u r w e l l.

Daymi Pan rękę, poprowadzę go do konia. Oddalmy się z tego mieysca co prędzey nim większa burza nadeydzie. *(Milord daie mu rękę, zakrywa sobie oczy płaszczem i cały drzący odchodzi.)*

F e r d y n a n d, *(do Lurwella)*

A co Mospanie nasze 200. Gwineów kiedy podzielemy?

L u r w e l l.

Poczekay filucie, rozmowiemy się in-

tro, nie uydzie ci ta sztuka na sucho. (*odchodzą.*)

SCENA. X

FERDYNAND, RYSZARD

FERDYNAND, (*za Lurwellem.*)

OY braciszku postąpię ia ztobą po ministrowsku. Hey Ryszardzie!

RYSZARD.

A co iuż poszli mòy Oycze?

FERDYNAND.

Już się niemasz czego obawiać. Przyydź tutay do mnie i przynieś mi moią rusznicę. (*Ryszard odchodzi... tu znowu grzmi i piorun uderza.*) Oy mòy Pan iunak, iuż tam na pòł umarł zapewne... Mòy Boże! iak to ludziom w roskoszach żyiącym śmierć okropną zdaie się rzeczą, a my biedni, o iak często życzemy iey sobie!

RYSZARD, (*niosąc karabin.*)

Oto macie Oycze wasz ulubiony szturmaczek. (*spostrzega pałasz na ziemi.*) Ale còż to znaczy ten pałasz?

FER.

FERDYNAND.

Jeſt to mòy Synu zdobycz, którą zyſkałem i woyny nawet nie tocząc. Podnieś go i zanieś do domu. Jutro gdy przed Królem ſkarżyć ſię będziemy, to żelazo pokażemy za dowod wyrządzonego nam gwałtu.

RYSZARD (*podnosi pałasz.*)

Ale mòy Oycze, wy nas chcecie porzucić samych, a gdyby ſię tu znowu powròcił ten Milord?

FERDYNAND.

O nie uczyni tego, bądź pewny. Te tchorze obydwa i Pan i Sługa, tak ſię bardzo grzmotòw obawiaią, że iak bydło uciekaią, i zapewne nie oprą ſię aż w domu. Do tego noc ſię iuż zbliża. Nim ſię iednak dzień zmierzchnie ieszcze, iedź ty śpieszno wòzkiem do Mansfield i przywieź z sobą Roberta. On iako Oyciec naypierwsze ma prawo do còrki i pod iego okiem Betsy bezpieczną iuż będzie.

(*tu znowu grzmi.*) Ta burza dzisieysza iest dla nas wcale pomyślną, bo iak się deszcz przez noc wypada, iutro śliczny ranek będzie na łowy. Ja poydę tym czasem do kniei. Zwierzęta teraz chroniąc się przez słotą, idą prosto swoie legowiska, muszę ie wytropić, iutro prosto Krola poprowadzę na nie.

RYSZARD.

Nie bawiąc więc dłużey, iadę po Roberta mòy Oycze, a Betsy tu przy matce zostawię. (*odchodzi.*)

FERDYNAND.

Powiedź iey niech się nieboi niczego, po połnocy i ia powrocę do nich — Ną, pozbywszy się z głowy wielkich Panòw, idźmy teraz z dzikami się potykać. Oy często się trafia, że ostatni mniey są okrutni iak pierwsi. *odchodzi.*)

KONIEC AKTU I.

Orgiestra gra Symfonią, w którey słychać grzmoty i nawalnice.

AKT II

Burza ustaie ku końcowi Symfonii, słychać tylko czasem zdaleka grzmoty i dezcz. Noc bardzo ciemna.

SCENA I.

Teatr reprezentuie inną część lasu bardzo zarostego. Na boku widać pień sciętego drzewa wypalony we środku.

TRZEH MILORDOW.

(Którzy błądzą szukaiąc drogi we lesie.)

PIERWSZY MILORD.

Jeszcze też przez życie moie w tak czarney niebłądziłem nocy. Zdaie się że ten las niema ni początku, ni końca.

DRUGI MILORD.

To prawda że koniec nie tak prędko podobno znaydziemy, ale co początek

bardzòśmy łatwo znaleźli wieżdzaiąc wczoray do niego.

TRZECI MILORD.

Niech tam wszyscy diabli porwą wasze polowanie i wasze ielenie. Wolałbym ia był w Londynie na oswoioną iaką polować sarnę. Spałbym noc całą na miętkiey pościeli, a tu przemokłem do nitki. Ale mnieysza o mnie, to gorzey gdzie się podział nasz dobry Krol w tey straśliwey burzy?

DRUGI MILORD.

Ja niewiem w ktòrą stronę Krol się obròcił i czy sam został, czy tam ma kogo przy sobie, ale co my, nierozłączaymy się proszę, i idźmy zawsze razem dla bespieczeństwa.

PIERWSZY MILORD.

Oy tak, czyńmy iak prawdziwi Dworacy, myślmy pierwey o sobie, mniey dbaiąc w co się Pan obroci.

Trzeci Milord.

Ale bo po cóż ukata tak daleko w las się zapędzał? więcey dwie mile biegliśmy za tym przeklętym ieleniem, iuż i psy nawet zgubiły były trop iego, a Król i ieszcze, i ieszcze. Koniecznie chciał go sam zabić, i nieczekaiąc nawet aż mu go napędzą, sam pobiegł przeymować go w gęstwinie.

Drugi Milord.

Przyznać iednak potrzeba, żeśmy Króla sami poduszczali do tego, upewniaiąc go, że ieleń iest przecudowney piękności, a chociaż go podobno żaden z nas niewidział. Henryk lubi niezmiernie tego zwierza i tak się zapalił do niego, że kto wie ieżeli tey strasliwey niewytrzymał nawalnicy, a może i dotąd błądzi po lesie.

Pierwszy Milord.

Otóż znowu naganiaiąc Króla, i w tym postępuiemy sobie iak Ministrowie

naſi, ktòrzy wszyſtkie dobre okoliczności przypisuią swemu rozumowi, a nieszczęśliwe dla kraiu przypadki, na samych Kròlòw zwalaią.

DRUGI MILORD.

Ey daymy pokòy teraz i Kròlowi i iego miniſtrom, oni ſię zawsze ze wszyſtkiego wykręcą, ale my niewiem czy ſię z tey gęſtwiny dziś wydrapiemy. Wiecie co, trzebaby nam choć raz wyſtrzelić z fuzyi, może na ten odgłos odezwie ſię kto albo przyidze po nas.

PIERWSZY MILORD.

Ja wszyſtkie iuż naboie po wyſtrzelam.

DRUGI MILORD.

Otoż ia wyſtrzelę, bo mam ieszcze nabitą fuzyą. (*wystrzela z fuzyi, a po nieiakiey pauzie.*) Nie, nic niesłychać, nikt ſię nieodzywa.

TRZECI MILORD.

Niema innego sposobu, tylko cierpli-

wie czekać ranney iutrzenki. *(postępuią daley,)* Zdaie mi się żem nama aż iakieś wielkie drzewo, stańmy tu pod nim, może nas zasłonić od deszczu.

PIERWSZY MILORD.

Usiądźmy raczey, bo iuż stać dłużey niemogę na nogach. *(siadaią.)*

DRUGI MILORD.

Ah! co to iednak za fatalna rzecz znaydować się w tak grubey ciemności!

PIERWSZY MILORD.

Bez wątpienia, a przeciesz to iest rzecz tak powszechna na świecie, żeśmy się iuż dawno do niey przyzwyczaić byli powinni. Jestże bowiem choć ieden dzień w życiu naszym, żebyśmy w iakich niebłądzili ciemnościach? -- Okrywaią nas niemi filuci przez swoie wybiegi, głupcy przez ich niewiadomość, fanatycy przez ich taiemnice, Patronowie przez ich potwarze, ludzie dworscy przez swoie intrygi, a kobiety przez ich oświadcze-

nia fałszywe. Ten rozum nawet, z ktòrego się tak bardzo chełpiemy, nic więcey nie iest, tylko bladym promyczkiem, ktòry ledwo nas tyle oświeca że przecież nosem nieuderzamy o ścianę, ale do wybrnienia z gęstey pomroki, w ktòrey nas błąd i niewiadomość trzymaią, ten rozum, ani nam tyle pomodź nie może, coby nam pomogła teraz do wyiścia z tych lasòw, iedna maleńka gwiazdeczka na niebie.

TRZECI MILORD.

Ale mòy Milordzie nie iest to teraz czas morały prawić, i mimo ślicznego twoiego rozumowania, ia wolałbym przecież choć iedną gwiazdeczkę na niebie, niżeli tę ciemność, w ktòrey iesteśmy. . . Ale czy mi się zdaie. . . czy kogoś słyszę idącego.

DRUGI MILORD.

Ktoś się tutay drapie przez krzaki. (*słuchaią.*)

SCENA II.

CIŻ SAMI i DWOH GAIOWYCH.

I. GAIOWY.

O Tòż to właśnie w tym mieyscu słychać było strzelanie.

II. GAIOWY.

I mnie się tak zdaie. Ale to niepodobna mòy bracie, żeby w tak ciemney nccy mògł kto strzelać zwierzynę.

I. GAIOWY.

A w ktòrą stronę dzisiay uciekły sarny?

II. GAIOWY.

Jelenie poszły na południe, i opowiadano, że Kròl udał się za niemi, a sarny wszystkie w tę tu krzewinę pierzchnęły.

I. GAIOWY.

Otòż to ani chybi Panowie strzelcy wyszpiegowali ie tutay, i na konto Krò-

lewſkie chcą sobie kilkoro rogaczòw u- bić, a iutro na rynku ie przedadzą. O wolę ia sam w pędzić ktòrego do ſieci i przepić go za zdrowie *Kròlewſkie.*

II. GAIOWY.

Ale w takiey ciemności, czy można nawet zobaczyć by zwierza?

I. GAIOWY.

A krzeſiwko od czego? Alboż to oni nieumieią napalić ognia, ktòry im zdaleka wszyſtko oświeca? — Idźmy ieno daley. *(postępuią trochę.)*

II. GAIOWY.

Słuchayno bracie, ieżeli ich czasem będzie kilkunaſtu, a nas tylko dwòch, to nas poduszą.

I. GAIOWY.

O iakiżeś thorz! Złodziey nigdy nie ma śmiałości. Gdyby ich i dzieſięciu było, wszyſtkich połapiemy. . . Ale cicho . . . słyszę kogoś . . . tutay ſię rusza.

DRUGI MILORD.

Wyraźnie słyszę, że ludzie iacyś gadaią. Na honor, bać się zaczynam. Jeżeli to są iacy zboycy leśni, to nas do nitki obedrą, bo nawet żaden z nas nie ma czym strzelić.

TRZECI MILORD.

Gdyby nam zabrali to co mamy, śliczniebyśmy zarobili na polowaniu.

I GAIOWY.

Słyszysz? (*skradaią się zwolna.*

DRUGI MILORD.

Wstańmy lepiey i przeidźmy po cichu na drugą stronę. (*wstaią, a gdy postąpią kilka kroków, wpadaią między nich Gaiowi, i chwytaią ich za szyie.*)

I. GAIOWY.

Aha!.., a tuście złodzieie. Nauczę ia was polować po nocy.

II. GAIOWY.

Oddaycie co macie drapichrósty, bo was do nitki obedrzemy.

TRZECI MILOLD.

Ah! moi Panowie z całego serca oddamy wam wszystko co mamy przy sobie, tylko niechcieycie z nami grubiańsko postępować.

I. GAŁOWY.

O tak, grzecznie z wami postępować należy, właśnieście nato zasłużyli obie sie.

II. GAŁOWY.

Prożne te perory hultayskie dusze, oddaycie zaraz co macie.

TRZECI MILORD.

Ja niemam więcey tylko 3. luidory przy sobie.

DRUGI MILOLRD.

Ja mam 5. gwineiów i zegarek złoty, proszę to przyiąć.

PIERWSZY MELORD.

Ja nic wcale niemam prócz tabakierki kościaney, weście ią a puście nas.

I. G a i o w y.

A cożto u krocset diabłów ma zna-czyć! Te niecnoty rozumieią podobno, że my się damy przekupić. Nie zło-dzieie, nie. Jutro rano musicie stanąć przed sądem w Londynie.

Pierwszy Milord.

My przed sądem? za to, że nas w lesie obdarto?

II. G a i o w y.

Jakto obdarto?

Drugi Milord.

Alboż nas W Panowie niechcecie o-bedrzeć?

I. G a i o w y.

Otoż, widzisz bracie, co to za bestye bezczelne, oni iutro gotowi przysiądź, żeśmy ich chcieli obedrzeć.

Trzeci Milord.

Zapewne, że przysiężemy, a to spra-wiedliwie.

Nie, złodzieie, nie waszych workòw my chcemy od was, oddaycie nam tylko zwierzynę Królewſką, ktòrąście ukradli.

PIERWSZY MILORD.

A niech ią tam kaci porwą swoią zwierzynę. Goniliśmy ią przez dzień cały, aleśmy i zaiąca nawet nie ubili.

II. GAIOWY.

Dosyć że iuż tych drwinkòw Panowie cszuſty. Alboż my to nie wiemy żeście tu umyślnie czatowali na sarny? Czy niesłyszeliśmy, iakeście niedawno ſtrzelali? Czy nie mowiliście sami pocichu do ſiebie: że gdyby wam zabrano to co macie, ślicznie byście wſkurali na polowaniu? A co nie prawda?

DRUGI MILORD.

My to mòwiliśmy o naszych pieniądzach.

I. Gaiowy.

Próżne wykręty. Pewno wisieć będziecie, daię wam moie słowo na to. Daley bracia, prowadźmy ich nayprzod do siebie, a iutro oddamy ich do Kokla Strażnika. Wieczorem zawiozą iah wdybach do Londynu, we czwartek po południu stawią ich przed sądem, a w piątek rano, daley na szubienicę.

Pierwszy Milord.

Idźiemy bracia. Niema czasu z niemi dysputować, na mieyscu przyzwoitym oczyściemy się z tego; a tym czasem dobrze, że nas wyprowadzą z tey puszczy. Idźmy tedy moi Panowie.

I. Gaiowy.

Trzymayże ich dobrze za szyie, żeby który halsztuka w ręku nie zostawił, a sam nie uciekł. Daley; daley do klatki panowie ptaszki. (*wychodzą.*)

SCENA III.

HENRYK *sam, (wychodzi z przeciwney strony szukaiąc przeyścia w gęstwinie.)*

Nie.. To niepodobna, ażeby to miał bydź publiczny gościeniec. Zgubiłem drogę zabłąkałem się zupełnie... Niewiem w ktòrą stronę się obrócić... dokąd się udać.. *(stawa pod drzewem.)* Moy Boże! człowiek zostawiony sobie samemu, o iak że iest słabym stworzeniem!.. Na còż mi się teraz przydać może Kròlewska moia dostoyność? Noc żadnego niema względu dla mnie. Nie mogę ani iaśniey widzieć w tey ciemności, ani śmieley postępować iak naylichszy z moich poddanych --- Co to iest Kròl?... O iak wiele razy siedząc na moim Tronie, słyszałem w około mnie powtarzaiących podchlebcòw; Kròl nasz „ iest mądry, iest potężny, iest wielki! „ -- Ależ ten Kròl obłąkany w nocy w środ lasòw choćby miał naywiększy rozum, rozeznać przecież niepotrafi gdzie

iest

północ, a gdzie południe? Potęga iego niewstrzymuie deszczu, ni grzmotów, wielkość iego niczym iest w porównaniu iedney pioronowey iskierki,, a zatym iest człowiekiem równie iak inni! Z tym wszystkim o iak często wynosiemy się z tych nie naszych wielkości. — Moim zdaniem: Król iest mądrym, przez mądre ustawy, iest potężnym w potędze Narodu, iest wielkim tylko przez wielkie cnoty! — (*otrzepuiąc płaszcz.*) Przemokłem wskroś, i pierwszy raz w życiu doznałem strachu, niewygody i utrudzenia . . . Jednakże cieszy mnie to po części, bo gubiąc Króla, znalazłem człowieka w sobie. (*tu słychać strzelenie.*) Cóż to iest? czy nie zboycy znayduią się tutay? cóż mam począć? Moia Królewska Moc zapewne by mnie nie obroniła od nich — Odłożmy więc dostoyność na stronę i schowaymy się pod drzewo iak człowiek. (*chowa się za drzewo przy którym stoi.*)

SCENA VI.

HENRYK *w ukryciu i* FERDYNAND,

(*z fuzyią i torbą myśliwską.*)

FERDYNAND, (*mowiąc z za Kulissy.*)

WIdzisz go, co za zuchwała bestya, ten pan niedźwiadek? chciał sobie ze mnie bankiecik wyprawić; ale poczęstowałem ia go tam podobno, bo zemknął zaraz, tylko sobie coś pomrukiwał pod nosem — Jeden raz w życiu moim trafiło mi się stać na szyldwachu przy drzwiach sali Akademii naszey w Londynie, słyszałem iak kilkudziesiąt mędrcòw w czarnych płaszczach i wielkich perukach, utrzymywali w publiczney dyspucie: że człowiek iest Panem i Kròlem wszystkich zwierząt na świecie: Ja to samo iuż nie sto razy chciałem wyperswadować niedźwiedziom i wilkom, kiedy mnie czasem obskoczą, ale te głupie bestye niechcą temu wie-

rzyć. Oy żebym ia mògł choć raz wpuścić do sali Akademickiey ze czterech przynaymniey niedzwiadkòw, obaczyłbym, ktoby się też przy swoim zdaniu utrzymał, czy moie zwierzęta kosmate, czyli tamte w dużych perukach. Nawet te bestye nie maią względu? na mòy Medalik, a on może kiedy Krola nawet samego oczy ściągnąłby na mnie, i spodziewam się że widząc mnie wyciągaiącego rękę pod murem, kazałby mi dać przynaymniey choć tuzin Gwineòw; . . . a iego kamerdynery dałyby mi z tego tuzin szelingòw.

H e n r y k, (*na stronie.*)

Nie, to nie iest zboyca iak widzę. Musi to bydź ieden z strażnikòw leśnych. Słuchaymy daley. Dowiem się może ròżnych nowości, o ktòrychbym w Pałacu moim nigdy nie słyszał.

F e r d y n a n d.

Ale przypomniawszy sobie o Krolu iuż mam dla niego upatrzonych sześciu wilkòw białych, dwa niedźwiedzie sre-

brnego włosa, i ślicznego ielenia z takiemi rogami, iakich ieszcze żaden mąż nie nosił we trzy miesiące po ślubie.

HENRYK, (*na stronie.*)

To iakiś osobliwszy człowiek!

FERDYNAND,

Teraz trzeba mi ieszcze z półgodziny tutay się zatrzymać. Sarny nayczęściey około północy zbiegaią się w te strony. Jeżeli ie wytropię, iutro rano nayprzòd damy dworskie poprowadzę na nie, bo nasze damy bardzo lubią polowanie na sarny, i chociaż płaczą często widząc pobite te niewinne zwierzęta, iednakże same strzelaią do nich. Ale coś ten deszczyk zakaty ochłodził powietrze; dreszcz iakiś pomnie przechodzi, moie rany zaczynaią wilgoć uczuwać. Muszę sobie trochę ognia zapalić. ... Gdybym tylko mògł znaleść moie ogniskо, ktòre sobie zawsze w iednym pniaku zakładam. .. Ale zdaie mi się, że muszę bydź niedaleko od niego.)

Maca w około siebie i natrafia na wielkie drzewo.) Aha, to mòy ſtary dąb, na ktòry zawsze przed dzikami reyteruię ſię z honorem . . . . tu po lewey ſtronie ſtoi mòy pniak. (*maca i znayduie go.*) A! otoż ieſt. (*kładzie rękę do środka* Jeszcze widzę popiòł nieoſtygł od wczora. Zapalmy chupkę, są tu drzewa, będzie i ogień w momencie. (*krzesze ogień zapala łuczywo, kładzie drewka, ogień się pali.*) Otòż to mòy zwyczayny kominek, wyśmienity ieſt nigdy niedymi, a chociem i Architekta nieużywał do niego (*patrząc na ręce.*) Tam do licha, uczerniłem ci sobie ręce iak òw ſtary lichwiarz, ktòry liczy swoie złoto na 50. od ſta procentu.. Zapalmy lulkę, bo to wzrok przeczyszcza i myśl weselszą sprawuie _ (*siada i pali lulkę.*) Nic mnie tak nie bawi, iak ten dym, ktòry z moiey lulki wychodzi. . . Uważam sobie iak on to nayprzòd gęſto paruie od dołu, daley przerzadza ſię w powietrzu, á nareszcie niknie w obłokach. Zywy obraz ludzkich nadziei na świe-

cie! .. W młodości układamy sobie wielkie proiekta, spodziewamy się wielkich honorow, wielkich dostatkow; ... gdy to nas minie, w doyrzałszym wieku radzibyśmy iuż i na pomierności przestali kawałek chleba spokoyny, malenki domek byłby dla nas szczęściem zupełnym ... ale i to nas rownie iak pierwsze omiia .... Nakoniec przychodzi starość, a z nią choroby i niedostatek, umieramy w nędzy, i nikniem iak dymek w powietrzu! — (*wstaie.*) Otoż ta właśnie historya moiego życia. — Lat ao służyłem w woysku, w trzech kampaniach popisałem się z honorem, ażardowałem życie, chcąc albo zginąć albo się czegoś dosłużyć, nie, ani tego, ani owego. W pierwszey kompanii Kapitan kommenderuiący nas uciekł ze strachu, ia krzyknąłem na kamratow, uderzyliśmy plutonem w skrzydło nieprzyiacioł, pomięszaliśmy liniią, wpadła kawalerya, wygraliśmy bataliią. Moy kapitan, ktòry się schował, został za to

pułkownikiem do razu, a mnie zrobiono kapralem. — W drugiey potyczce odebrałem bateryą, i chociaż okryty ranami, nieustąpiłem z wału, póki naſi nie wyparowali Francuzow, i za to zostałem Sierżantem. — Wostat nim nakoniec attaku, pierwszy wdrapałem ſię na mury. Pomieszany nieprzyjaciel uciekł od armat, kamraci widząc mnie na murze, rzucili ſię do drabin, wpadli hurmem, odebrano fortece która decydowała los cały woyny! — Nasz Generał, który o poł mili patrzał na nas przez perspektywę, zoſtał za to Milordem, doſtał Order i 50,000. Luidorow roczney intraty, a mnie przypięto medalik. — W poł roku potym ſkończyła ſię woyna, zwinięto woyſko, rozpuszczono moy Regiment, i ia z medalem zoſtałem na bruku bez chleba. A tak kiedy moy Generał opływaiąc w honory i bogactwa, trawi życie roſkoszne w kompanii naywyższych osob, ia ktory pierwszą szczęścia iego byłem przyczyną, żyię z nie-

dzwiedziami w kompanii, i ledwie mam kawałek suchego chleba. — O dziwaczne losow zrządzenia!

HENRYK, (*na stronie*.)

Co słyszę? ktoby się spodziewał, aby w tych lasach znaydował się człowiek tak zasłużony? Ani wzmianki po ostatniey woynie nie czyniono mi o nim. — O iak rzadko istotna prawda do Tronu Monarchow dochodzi!

FERDYNAND.

Ile razy tylko rozpamiętywam sobie życia moiego przypadki, przychodzi mi zawsze na myśl pewna piosneczka, ktòrey ieszcze od mego Bakałarza nauczyłem się w szkołach. — Był to człowiek bardzo uczony, ale go wypedzono z Akademii za to, że się ważył mieć więcey rozumu od swego Rektora. Rozgniewany na świat, osiadł w miasteczku i dzieci tylko obecadła uczył. Często sobie śpiewywał wieczorem, siedząc na kamieniu pod lipą. Nigdy tey noty zapomnieć nie mogę, choć iuż temu lat

ſo. zgórą minęło. Muszę ią sobie zaśpiewać. (*śpiewa.*)

P I O S N E C Z K A.

Kto rząda szczęścia od świata,
Niech ſię do świata ſto nie,
Niech ſię przemysłem kieruie,
Niech nie ma względu na brata;
Bo tam gdzie cenią pozory,
Tam szczerość nie wiele nada.
Intryga idzie do gory,
A zasługa upada.

Ani cię rozum zaleci,
Ani cię cnoty wzbogacą,
Kto niema pierza nie wzleci,
Gdyś goły, zawsześ ladaco.
Ten błyszczy, ten ma honory,
Kto liczne złoto poſiada.
Intryga idzie do góry,
A zasługa upada!

Gdy nie masz z bogactw zalety,
Płaszcz ſię przed Panem bogatym,
Lub szukay ładney kobiety,
Dziś całe szczęście ieſt na tym.

W Swiątynie, w mieście, na dwory
Wszędzie niesłuszność się w krada.
Intryga idzie do gòry,
A zasługa upada!

Oy prawdę mòwił mòy Bakałarz, Swiat rzadko kiedy sprawiedliwy bywa. *(spostrzegaiąc Kròla za drzewem.)* Ale còż to czy, mi się zdaie, czyli się tam ktoś rusza za drzewem? . . . Ani chybi strzelec iaki z miasta zaczaił się tu na sarny. Idąc tutay słyszałem strzelenie, pewniuteńko ubił iuż ktòrą. *(wyymuie pistolèt z tasaka i naciągnąwszy kurek przybliża się do drzewa.)* Kto tu iest! Odzyway się zaraz. Czego się tu skradasz niecnoto?

Henryk, *(wychodząc.)*

Przyiacialu, nie iestem zły człowiek.

Ferdynand.

Zapewneś nic lepszego hultaiu, a kto tutay strzelił niedawno?

HENRYK.

To nie ia, na honor przyrzekam.

FERDYNAND.

Na twòy honor dayże go katu! Kłamiesz filucie, i ieszcze ci raz powiadam że kłamiesz.

HENRYK.

Ja kłamię? ia zaś mam kłamać? (*na stronie.*) O iak mi się dziwno zdaie słyszeć podobne wyrazy! (*głośno.*) Nie kłamię wcale Mospanie. Daię ci na to słowo moie.

FERDYNAND.

Jarównie nie wierzę twoiemu słowu, iak i honorowi twoiemu. Daley przyznay-mi się zaraz, czy zabiłeś którą sarnę Królewską?

HENRYK.

Nie zabiłem żadney. Nadto wiele mam uszanowania dla Jego Królewskiey Mości, abym śmiał się na to odważać. Słyszałem i ia niedawno to samo strze-

lenie, a obawiaiąc się aby to nie byli zboycy iakowi, skryłem się między te pniaki.

F E R D Y N A N D.

Nie bardzo mi się coś chce wierzyć Waściney mowie. Ale powiedzno mi kto iesteś, i iak się nazywasz?

H E N R Y K.

Jak się nazywam?

F E R D Y N A N D.

Tak iest. Przecież musisz mieć iakowe nazwisko. Jakże czy się niiak nienazywasz? . . . Zkąd tedy idziesz? co tutay robisz?

H E N R Y K.

Prawdziwie mòy Panie, do podobnych pytań nie iestem wcale przyzwyczaiony.

F E R D Y N A N D.

Bydź może, ale to są pytania, na ktòre poczciwy człowiek nie lęka się nigdy odpowiadać. A zatym ponieważ nic lepszego na twoią obronę powiedzieć mi

nie możesz, proszę Waszmości z sobą Za pozwoleniem iego, wsadzę Waszmość do turmy, aż do iutrzeyszego poranku.

HENRYK.

Mnie do turmy? iakimże to prawem Mospanie?

FERDYNAND,

Prawem nadanym mi od samego Króla, kiedy ci mam mòwić wyraźnie. Jestem Ferdynand Kohl, Strażnik lasòw tuteyszych, i mam rozkaz aresztować wszystkich włoczęgòw, ktòrzy kradną zwierzynę Kròlewską.

HENRYK, (*na stronie.*)

Nie masz sposobu, muszę się poddać iak widzę pod własne moie rozkazy. (*głośno.*) Bardzo mnie to cieszy Mospanie Strażniku, że Kròl ma tak wiernego Officyialistę w osobie W Pana, a ponieważ wiem teraz że masz od niego powierzoną sobie władzę w tych mieyscach, chcę się W Panu dać lepiey poznać, ieżeli będziesz raczył posłuchać nie cierpliwie.

FERDYNAND

Zdaie mi się cóś, żeś nie bardzo wart tego. . . ale no, słucham co mi powiesz na twoią obronę?

HENRYK.

Powiem mu tedy, że i ia także należę do Krola i rownie iak W Pan niećcierpiałbym, gdyby mu iakową szkodę wyrządzano. Przyiechałem tu z nim razem na polowanie, ale zapędziwszy się głęboko w puszczą za iednym ieleniem, dla zaszłey nocy i burzy straszliwey zbłądziłem z drogi, i sam niewiem iak się w tę gęstwinę dostałem.

FERDYNAND.

Oy! coś to fałszywie brzmi mòi braciszku. Jeżeliś z Krolem przyiechał, a gdzie iest twòy koń?

HENRYK.

Zostawiłem go z moim Mastalerzem, a sam piechotą zabiegałem ieleniom.

FERDYNAND, (*na stronie.*)

Bydźby to mogło. Własnie też Kròl nad wieczorem niedaleko ztąd polował.

HENRYK.

Wierz mi mòy przyiacielu, że nie umiem kłamać.

FERDYNAND.

Jak to? W Pan dworak, a nie umiałbyś kłamać? A żartuy zdròw moy Dobrodzieiu!

HENRYK.

Mòw sobie wreszcie, co ci się podoba. W kròtce się przekonasz że iestem poczciwy człowiek, i na dowod tego, gdybyś mnie chciał przeprowadzić do Mansfield, albo pozwolił mi przenocować w tym domu, ofiaruię ci tym czasem tę bagatelę. (*daie mu worek.*) a iutro daleko większą odbierzesz nadgrodę.

FERDYNAND.

O to, to, to, teraz dopiero przekonałeś mnie W Pan, że iesteś człowiekiem

od Dworu. „ Na dziś tym czasem „ mała bagatela, a na iutro wielka obietnica„ a to wszystko nie zaiąknąwszy się nawet — Schoway moy Panie twóy worek. Ferdynand Kokl nie umie żyć po waszemu, i nie trzeba go przekupować, ażeby dopełniał swoią powinnosc.

HENRYK.

Prawdziwie ty iesteś człowiek wcale osobliwszy. Cieszyłbym się bardzo gdybym mògł ściśleyszą mieć znaiomość z tobą.

FERDYNAND.

Ty iesteś . . . ztobą. . . ah iak ia tego tykania cierpieć nie mogę. Zdaie mi się mòy Panie niepodchlebiaiąc sobie, żem wart Waszmości.

HENRYK, *(z uśmiechem)*

Oh wybacz W Pan, przepraszam.

FERDYNAND.

Na, mnieysza oto, ia się nie gniewam mòy Panie, tylko że nie lubię bydź z ni-

kim

kim w poufałości, poki nie doświadczę czy tego godzien albo nie.

HENRYK.

Rostropnie W Pan czynisz. Ale powiedzże mi proszę, iak się mam teraz obrocić?

FERDYNAND.

Wolno W Panu obrać co mu się spodoba. Znayduiesz się teraz o pòłtrzeci mili od Mansfield, i masz ieszcze do przebycia bardzo gęste bory. Jeżeli iednak chcesz tam bydź koniecznie ieszcze tey nocy, wyprowadzę W Pana na drogę, i rozpowiem mu gościeniec iak będzie można naylepiey. Gdybyś zaś wolał przyiąć cieniuteńką wieczerzą, iaką ubogi Strażnik dać może i łożko dosyć twarde w chałupie, proszę Jegomości, będę mu rad z całego serca, a iutro rano każę W Pana odwieść do miasta.

HENRYK.

Ale nie mogłbyś mnie sam teraz zaprowadzić do Mansfield.

FERDYNAND.

O co tego, to nie uczynię, choćbyś W Pan był i Krolem nawet.

HENRYK.

A kiedy tak, to iuż wolę przenocować w domu W Pana.

FERDYNAND.

Bardzo dobrze. Poydziemy tedy, ale wprzòd muszę przysypać moy ogień, to się iutro łatwiey rozżarzy kiedy będą gorące węgle. (*gasi ogień.*) Ną, teraz poprowadzę W Pana z sobą.

HENRYK.

Moy przyiacielu, bądź pewien za to wdzięczności odemnie.

FERDYNAND

Tylko bardzo prosze nic mi nie obiecywać; bo zaraz się gniewać zaczynam. Przypominam sobie bowiem mego Generała, ktory nam przed potyczką złote gòry zawsze obiecywał, a po batalii

nie spytał się nawet, czy żyiemy na świecie. Day W Pan rękę, nie obawiay się niczego, bo ia tu znam wszystkie drożyny. (*Odchodzą.*)

SCENA V.

(*Teatr się odmienia i reprezentuie chałupę Kokla. W śrzodku drzwi, na boku szafa i kilka stołków drewnianych. Na stole widać palącą się lampę blaszaną.*

ROBERT, BETSY, MAŁGORZATA, RYSZARD.

Robert siedzi oparty na stole. Małgorzata prządzie na kołowrotku, Betsy skubie iey len i często ociera zapłakane oczy. Ryszard zabawny iest chędożeniem Karabinków Oycowskich.

MAŁGORZATA.

Na, dosyć że iuż tych szlochów;... i beczą, i beczą, iak gdyby to co osobliwszego było, że się młoda dziewczyna uwieść pozwoliła. Wszakci to, (Boże odpuść) niewiem ieżeli iest ieden dom w Londynie, żeby się w nim

podobna nie zdarzyła awantura, a przeć cię nikt nieumiera z żalu i wszyscy zdrowi. Pòki człowiek młody, czuie w sobie krew. Ja sama iak miałam lat 18. 20. tom ledwo ze skory niewyskoczyła, widząc iakiego ładnego panicza. Już to tak iakoś powszechnie się dzieie, iże człeku chce się tym bydź, czym nie iest i nasze dziewczęta wolą zawsze wielkich Panow kochać niźli rownych sobie parobkòw.

BETSY.

Oh przestańcie iuż otym mòwić. Nierozdzieraycie bardziey serca Oycu moiemu.

MAŁGORZAVA.

Ey! bo i czegoż niepotrzebnie wszyscy szlochacie, stało się. Chociażeś się trochę poszkapiła, aleś się też i pomiarkowała, to dosyć natym. A gdzież iest człowiek, ktòryby choć raz w życiu swoim nie upadł? Oy pamiętam ia dobrze moie młode lata (*rzuca kądziel, i idzie do Roberta.*) Ną, Tatulu bądźcie

dobrey myśli, iużeście darowali Córce przewinienie, niedręczciesz iey dłużey tym smutkiem waszym.

ROBERT.

Wybaczełem iey niedoświadczeniu, serce Rodzicielskie nie czuie iuż żadney do niey urazy, ale mnie dręczy nieznośnie niegodziwy podstęp zdraycy tego, który ią uwiodł. O Boże! czemusz to rownym nam w istocie ludziom, wolno ma bydź udręczać nas i hańbić bezkarnie dla tego, że są bogatsi! Nie, nie umrę spokoynie ieżeli sprawiedliwie ukaranym niebędzie.

RYSZARD.

Bądźcie tego pewni kochany Robercie. Moy Oyciec przedsięwziął iutro samemu Królowi wszystko opowiedzieć, a ten dobry Monarcha nie puści zapewne bezkarnie tak czarnego postępku.

Oycze moy! ieżeli zemsty koniecznie pragniecie do uspokoienia serca waszego, tedy ia sama chociaż hańbą okryta, choć dla wstydu nieśmieiąca oczu podnieść na ludzi, upadnę Krolowi do nòg, i póty ich się niepuszczę, aż wybłagam zemstę na zdraycę, i nadgrodę wszystkich szkod waszych.

MAŁGORZATA.

A ia zaś mowię siedźcie lepiey cicho, i połknijcie pigułkę w milczeniu. Rozumiecie że to u Panòw wiele znaczą podobne występki? Oy oni to sobie za igraszkę maią. Obaczycie że to wszystko w śmiech tylko obrocą, nażartuią się z was do woli, i odprawią was z niczym.

ROBERT.

Ktokolwiek w żart obraca krzywdę uczyniona ludzkości, nie wart iest nie tylko zaszczytòw wielkiego Pana, ale nawet imienia człowieka.

MAŁGORZATA.

No, no, wspomnicie iutro moie słowa.

Tu słychać że woła za drzwiami.

FERDYNAND.

Małgorzato! Małgorzato! Otworz ieno i day nam ſtu światła.

MAŁGORZATA.

Ah to moy mąż! Zaraz, zaraz. Ryszardzie poświeć tam Oycu. (*Ryszard zapala świecę.*)

FERDYNAND, *za drzwiami.*

A prędzey ieno, bo ci prowadzę zwierzynę, iakiey nigdy ieszcze w domu naszym niebyło; człowieka dworſkiego. Małgorzato!

MAŁGORZATA, (*zradością.*)

O tym lepiey, tym lepiey, ia zawsze bardzo lubię tych ludzi dworſkich.

Ryszard, (*wychodzi ze swiecą.*)

Betsy, (*mocno pomieszana.*)

Ah! Oycze mey pozwol niech się skryię przed okiem tego przychodnia, może, to bydź ktory z naiomych mi dworzanòw, nie chcę aby mnie widział, aby się naigrawał z poniżenia moiego.

Małgorzata.

Wstydzisz się moia rybko tey kiecki, cy wierzę temu! Schowayże się do komory, a ia! cię potym wypuszczę tylnemi drzwiami, poydziesz sobie spać na poddasze, ieżeli tu ten Jegomość zechce nocować.

Robert.

Zobaczywszy się z Koklem, i ia tam przyidę do ciebie.

Betsy.

Oycze moy, niemartwcie się więcey. Bòg może sprawiedliwy pomści się krzywdy niewinnych. (*odchodzi.*)

SCENA VI.

HENRYK, FERDYNAND, ROBERT, MAŁGORZATA, RYSZARD.

MAŁGORZATA.

Kogoż to tam prowadzisz moy mężu?

FERDYNAND.

Mamy tu gościa Margosiu, trzeba mu dać wieczerzą i łożko, bo tu będzie nocował.

MAŁGORZATA.

Mamy my tu lepszego gościa. Oto Robert przyiechał z Synem naszym.

FERDYNAND.

(Popycha Henryka od siebie.)

Co nasz staruszek Robert? A iak się masz moy bracie naymilszy. *(ściskaią się*

ROBERT.

Wiadome ci są dobrze zgryzoty moie

HENRYK, (*do Ferdynanda.*)

Żeby trochę mocniey byłbym zapewne na ziemi.

FERDYNAND.

Oh dokata! .. przepraszam bardzo Jegomości, takem się ucieszył zobaczywszy poczciwego mego przyiaciela, żem się do szczętu zapomniał. Mospanie, ten oto nieszczęśliwy staruszek iuż od półroku porzucił swoy młyn, przyiacioł i całą chudobę.

HENRYK.

Dla iakieyże to przyczyny, czy nie możnaby wiedzieć?

ROBERT.

Nie iest teraz czas zatrudniać W Pana opowiadaniem nieszczęśliwości moich. Potrzebuiesz wywczasu po utrudzeniu, wypoczniy sobie.

FERDYNAND.

Tak, tak, rozgość się W Pan. (*zdeymuie mu płaszcz i wałasz odnina.*) Ludz

sobie proszę — Nasz Król polował dzisiay wtym lesie. Jegomość iest dworzaninem u Króla i przyiechał z nim na łowy, ale że się daleko zapędził za ieleniem, noc go zaszła i zabłądził w gęstwinie.

MAŁGORZATA, (*przypatruiąc mu się.*)

Nieboraczek!

FERDYNAND.

Gdybym go był szczęściem niespotkał, możeby mu były wilki skurę poturbowały.

MAŁGORZATA.

Nieboraczek!

FERDYNAND.

Na, ieno Margosiu, zakrzątniey się około kuchni, żebyśmy się mieli przecież czym posilić, bośmy się to prześli nieszpetnie. Zabiy parę kurczaków i ugotuy nam kopę pierogów.

MAŁGORZATA.

A dla sam Pana zrobię polewczkę z iaiek na mleku, bo to ludzie dworscy lubią delikatne potrawki.

HENRYK.

Dobrze moia Matko, będę wam bardzo wdzięczny za to.

MAŁGORZATA.

(odchodzi i wraca się nazad.)

Albo też może W Pan lubisz małdrzyki, albo Sielánkę ze słodkiey śmietany, bo ia to umiem bardzo smacno robić

HENRYK.

Co wam śię podoba, wszystko z ochotą przyimę.

MAŁGORZATA.

Albo też... czekayno W Pan... cóż ia to ieszcze umiałam gotować... *(myśli.)*

FERDYNAND.

Niebayno dłużey moia Małgorzato, i nieprzykrz śię Jegomości twoią grzecznością. Idź a gotuy co masz pod ręką.

MAŁGORZATA.

O moy mężu dayciezmi pokoy, żebym, ia nie miała więcey polityki iak

wy, toby ten Jegomość mògł rozumieć żeśmy bydlęta iakie.

FERDNYAND

Oh ia rozumiem, że człowiek szczery więcey wart, niżeli grzeczny. Idź ieno, idź, porzuć tę politykę, a weź się do kuchni.

MAŁGORZATA.

Idę iuż, idę, ale przy wieczerzy opowiem Jegomości całe moie życie. O bo i ia także nie w lesie tylko się schowałam. Oy byłam i ia po dworach, i wiem dobrze co to są wielcy Panowie. (*odchodzi.*)

FERDYNAND.

A ty Ryszardzie idź przynieś nam dzbanek cienkuszu, (*Ryszard odchodzi.*) bo my tu Mospanie bardzo sławne mamy cienkusze, a osobliwie w Mansfield przednio się udaią. Moy, prawda trochę mi iuż w beczce nadkwaśniał, ale to nieszkodzi, tym podobnieyszy ma smak do starego wina. (*zdeymuie z siebie pistolety i torbę.*)

HENRYK.

Napiię się go z dobrym apetytem bo pragnienie mocno mi dokucza. (*na stronie.*) Dzięki niebu, będę miał choć raz w życiu tę roskosz bydź traktowanym iak człowiek pospolity, i widzieć ludzką naturę bez żadney pokrywki.

FERDYNAND, (*do Roberta*)

Przyiacielu usiądźcie tu znami. Jegomość zapewne gniewać się nie będzie, że sie napiiem razem i ziemy wieczerzą.

HENRYK.

I owszem proszę, usiądcie tu przy mnie Starużku.

ROBERT. (*siada za stołem.*)

Dziękuię wam za tę grzeczność moy Panie.

FERDYNAND.

Nie smućcie się przyiacielu. Mam nadzieię, że wasz interes uda mi się inaczey wykierować. Ale gdzież się wasza córka podziała?

ROBERT.

Już poszła spać, słabe iey się trochę zrobiło.

RYSZARD, (*przynosząc piwo.*)

Otoż iest Oycze, natoczyłem z pełney baryłki, ale i ten widzę nadkwaśniał.

FERDYNAND.

Nic to, wypiie on się kiedy iest pragnienie, (*bierze dzbanek.*) Do W Pana Mospanie. Wasze zdrowie Robercie (*piie.*)

HENRYK, (*na stronie.*)

Ta prostota obowięzuiąca, iest rozkoszą nieznaną u Dworów.

FERDYNAND.

Ną Mospanie, proszę teraz wypić za nasze zdrowie.

HENRYK, (*bierze dzbanek*)

Z ochotą. Do was Robercie. Wasze zdrowie Panie Strażniku (*piie.*)

FERDYNAND.

Sługa Jegomości.

Henryk, (*napiwszy się.*)

Proszę przyiąć Panie Robercie.

Robert.

Ryszard, do ciebie. W Panów zdrowie.

Ryszard.

Piycie moy Oycze, a przestańcie się smucić. Ah! ... (*westchnienie mocne.*)

Henryk.

Mei przyiaciele, uczyńcież mi tę grzeczność, a powiedzcie mi co iest przyczyną nieszczęścia tego staruszka. Mimo dobrey ochoty, z iaką staracie się mnie przyiąć, widzę w was pomieszanie i smutek. Ryszard iest podobne waszym synem Panie Strażniku!

Ferdynand.

Tak iest Mospanie.

Henryk.

Ten młodzieniec także musi cierpieć dolegliwość iaką. Oczy iego pełne są łez i słyszę go często bolesne wydaiącego westchnienia.

FERDYNAND.

Jakże nie, kiedy ten fatalny przypadek iego naywięcey obchodzi.

HENRYK.

Zwierzcie mi się wszystkiego, a obaczycie, że wam to na dobre wyiść może. Ktòż to wie, ieżeli ia nie będę w stanie pòmòdź wam w tym przypadku, ktòry was trapi?

FERDYNAND.

Moy przyiacielu, nie zaszkodzi posłuchać, co nam Jegomość poradzi. Wszak bez tego iutro cały dwor o tym będzie wiedział, kiedy się będziemy skarżyć Kròlowi.

HENRYK.

Aż Kròlowi chcecie się skarżyć? to musi bydź ważny iakiś interes? Jeżeli mi go pierwey powierzyć zechcecie, upewniam was, że Kròl prezemnie dowie się tak dokładnie o wszystkim, iak gdyby to sam od was słyszał. Ja wam naylepszy przystęp wyiednam do niego.

ROBERT.

Dobrze Mospanie, opowiem ci wszyſtkie nieszczęścia moie, a chociaż żyiesz na dworze, wśrzòd obyczaiòw zepsutych, rozumiem iednak, że nie zechcesz ſię z pochańbienia moiego urągać. Urodziłem ſię w ſtanie szlacheckim, ale ſtraciwszy rodzicòw i maiątek w zamieszaniu kraiowym, umyśliłem zapomnieć o urodzeniu, i chwycić ſię iakiegoś sposobu do życia. Kupiłem młyn niedaleko od tego domu, ożeniłem ſię z còrką iednego mieszczanina z Mansfield, i żyłem z pracy rąk moich. W rok iakoś potym, żona moia umarła zoſtawiwszy mi còreczkę, iedyny owoc małżeńſtwa naszego. Pietnaście lat przepędziłem w tym ſtanie, wszyſtkie moie ſtarania obracaiąc na wychowanie tego dziecięcia, ktòre kiedyś, nieſtety! miało bydź przyczyną naysroższych dla mnie boleści. — Dnia iednego powròciwszy iuż pòźno z miaſta, dowiaduię ſię od czeladzi moiey że iakiś Pan, wpadłszy do młyna z kil-

kunaſtu służących, porwał còrkę moią, i tak spieszno manowcami po leſie uciekał, że go ani dogonić, ani pomiarkować niemożna było, w ktòrą ſtronę ſię udał. Niepotrafię W. Panu opisać iaką rozpacz ta nowina w sercu moim sprawiła. Straciwszy iedyną pociechę ſtarosci moiey w tym oſtatnim dziecięciu, przedałem dobytek, opuściłem młyn, i udałem ſię do Mansfield, gdzie rok cały przeżyłem w boleściach, wołaiąc codziennie do Nieba o pomſtę za krzywdę moią i o śmierć, ktòraby koniec zgryzocie moiey przyniosła. Niespodziewałem ſię iuż więcey widzieć còrkę i moiey, kiedy oto Ryszard przyieżdza po mnie, udaiąc iakoby mnie Pan Kokl potrzebował. Co tylko wſtąpiłem tu za pròg, znayduię còrkę u nòg moich zalaną łzami, ale radość z widzenia oney przemieniła ſię natychmiaſt w sercu moim w boleść nayśroższą, kiedy ią znayduię uwiedzioną, z honoru wyzutą i wzgardzoną nareszcie od zdraycy, ktòry ią

schańbił! . . . Już ten ostatni cios odiął mi resztę pociechy na świecie, i proszę Boga, aby iako nayprędzey skròcił nieszczęśliwe ostatki życia moiego!

HENRYK.

I Ktòż to iest ten bezwstydny zwodziciel, ktòry wam takową krzywdę wyrządził?

RYSZARD.

Jest to Pan wielki, i to też nas naywięcey dolega: gdzież bowiem sprawiedliwość znaydziemy na niego?

HENRYK.

Alboż to dla tego, że iest wielkim Panem, ma mu bydź wolno bezkarnie popełniać występki? Jakże się nazywa? może ia gò znam.

RYSZARD.

Jest to iakiś Milord, ale zapomniałem iak się nazywa, bo go tylko raz w życiu widziałem, i to w wielkim strachu byłem na òw czas.

FERDYNAND.

Ale ia nie zapomniałem napisać sobie iego nazwiska. Poczekay ieno. (*patrzy w pugilares.*) Jest to Milord Rydyng, synowiec pierwszego ministra.

HENRYK.

Synowiec ministra? (*na stronie.*) Co za rozpustnik niepoprawiony! ledwo nie codzień podobne zbrodnie popełnia!(*głośno.*) Niepoymuię iednak moi przyiaciele, iak ten Milord odważył się wykraść waszą còrkę nie maiąc żadnego z nią zachowania? musieli się znać z sobą pierwey?

ROBERT.

Całą tę intrygę prowadził iego fawořyt koniuszy. Poznał on był Betsy tu na polowaniu, ale niemogac iey namowić dla siebie, naraił ią Panu swemu.

RYSZARD.

Kiedy ią wykradli zemłyna, trzymano ią zamkniętą przez trzy miesiące w iednym ciemnym pokoiu, ale widząc Milord, że iey żadnym postrachem na żądanie swoie nie mògł nakłonić, użył

na to mocnieyszey podniety; . . podniety własney miłości. Wypuścił ią na wolność, obsypał kosztownemi darami, i dał iey na piśmie przyrzeczenie zaślubienia iey sobie, a tak oduizył nareszcie serce niewinne, nieznaiące sideł zwodniczych. W poł roku potym obrzydziwszy ią wcale, umyślił wysłać ią na okręcie do iedney z Koloniow Amerykańskich, gdzie miała bydź zaprzedana w wieczną niewolą. Takim to szkaradnym okrucieństwem chciał ten zdrayca uwolnić się od danego przyrzeczenia małżeństwa, i czarność zbrodni swoiey zatrzeć, na zawsze; ale Betsy dowiedziawszy się o tym od iednego z służących, uciekła natychmiast zostawiwszy wszystko, co od niege miała, i wczora nad wieczor przybiegła do nas.

HENRYK.

Czy podobna, aby ten młodzieniec mògł knować tak nieludzkie zamysły.

ROBERT.

Moy Boże przedawac człowieka iak

bydlę i ieszcze to co sam kochał, ah to iest nad wszystkie pociecha!

FERDYNAND.

Nieprzestał ieszcze i na tym. Obawiaiąc się, aby dziewczyna maiąc przy sobie przyrzecenie małżeństwa na piśmie, nieupomniała się wczasie krzywdy swoiey przed sądem, rozesłał szpiegów, aby iey wszędzie szukali. Musiał on się od nich dowiedzieć, że do nas uciekła, bo wpadłszy tutay ziednym swoim służącym, chciał ią gwałtem porwać z domu moiego. Stawiłem mu się iako człowiek wolny na swoiey ziemi, i odparłem przemoc przemocą. Porwał się na mnie do korda, a ia mu pistoletem błysnąłem w oczy, i niewiem do czegoby przyszło, gdyby Niebo łaskawe nienadesłało mi było sukursu w obłokach. Błysnęło szczęściem i zagrzmiało ogromnie. Artylleryá Niebieska tak gęsto kanonadę zaczęła z górney swoiey bateryi, że moy Pan zuchwalec reytyrował się natychmiast; zostawiwszy na

placu batalii swoy pałasz, ktòry ia lu-
tro, iako znak zwycięztwa," samemu
Królowi pokażę.

H e n r y k.

Bardzo dobrze uczynisz moy przyia-
cielu.

F e r d y n a n d.

Ale co W Pan myslisz Mospanie?
Czy my wskuramy przecież co u Krò-
la? Zyiąc u dworu, musisz znać ie-
go charakter i iego sposòb myślenia.

H e n r y k.

Nikt go lepiey nieznа nademnie, i
dla tego zapewnić was mogę, że Kròl
nieścierpi, aby naywiększy Pan po-
krzywdził bezkarnie naylichszego z
iego poddanych. Ręczę wam, że i su-
rowo ukarze tego zwodziciela, i krzy-
wdy wasze nadgrodzić wam rozkaże.

F e r d y n a n d

Doprawdy? tak W Pan rozumiesz.
Ną, kiedy tak, to przestańmy się smu-
cić. Robercie, wypiymy za zdrowie do-
bregoKròla.Ryszardzie, poday tu dzba-
nek. *Ryszard podaie, a Ferdynand wstaie*

i zdeymuie kapelusz.) Do W Pana. Niech żyie Henryk! dobry nasz i sprawiedliwy Krol!

ROBERT, RYSZAD, (*zdeymuiąc kapelusze.*)

Niech żyie w naydłuższe lata!

HENRYK, (*zapominaiąc się.*)

Dziękuię wam moie dzieci . . .

FERDYNAND.

A to za co? wszak my nie W Pana zdrowie piiemy. Jakto zaraz znać człowieka dworskiego; dziękuie za Pana, kiedy mu kto co dobrego życzy, a sam często nie naylepiey mu sprzyia. Ną, wypiy ieno i W Pan za zdrowie Krolewskie. (*daie mu dzbanek.*)

HENRYK.

Z całego serca. Niechay żyie Krol Henryk. . . .

FERDYNAND, (*zatrzymuiąc mu dzbanek.*)

Ale Mospanie za pozwoleniem iego; Krolewskie zdrowie piie się stoiący i

zdiąwszy kapelusz z głowy. Ja nie wiele umiem waszey polityki, ale to wiem, że Monarchom należy się wszędzie i od każdego poszanowanie i respekt.

HENRYK, (*wstaie i zdeymuie kapelusz.*) Niech i tak będzie. Piię tedy zdrowie Królewskie.

WSZYSCY.

Niech żyie w iak naydłuższe lata!

ROBERT, (*odbiera dzbanek.*) I ia to samo powtarzam: Niech żyie nasz Król! (*piie.*)

WSZYSCY.

Niech żyie!

HENRYK.

Powiedzże mi moy Panie Strażniku, do iakiego stanu przeznaczyliście waszego syna. Stoiąc pod drzewem, słyszałem historyą życia waszego. Zdaie mi się że przetrawiwszy cały niemal wiek na żołnierce, powinnibyście i syna do tego stanu sposobić.

FERDYNAND.

O co o tym wcale niemyślę. Kiedy W Pan słyszałeś moie zdarzenia, nie trzeba mu się dziwić, że niechciałem uwięzić syna w takim powołaniu, gdzie rzadko zasługa, a nayczęściey intryga wygrywa. Po tym nieszczęśliwym porwaniu mu iego narzeczoney, posłałem go do Londynu, gdzie Hrabia Morley należący niegdyś matki moiey, obiecał był umieścić go w skarbie. Ale się nieborak i na tey nadziei zawiodł. Straciwszy więcey połroku na prożnym oczekiwaniu, powrocił z niczym do domu, i więcey już niechce słyszeć o Londynie.

RYSZARD.

Oy nie moy oycze, niechcę już więcey słyszeć o tey ziemi obiecaney!

HENRYK.

Coż to ty rozumiesz przez ziemię obiecaną?

RYSZARD.

Tak Mospanie! Obietnice Panów wielkich, są ową ziemią obiecaną Izraelitom, do ktòrey od wiekow wędruiąc, ieszcze do tych czas trafić niemogą.

HENRYK,

Jakże? to tedy Hrabia, twoy Protektòr niemiał żadnych względow dla ciebie?

RYSZARD.

I owszem bardzo wiele miał względów, bo mi obiecywał zawsze aż do ostatniego momentu.

FERDYNAND

Prawdziwie ci Panowie wielcy muszą rozumieć, że potrzebuiący ich wsparcia, same obietnice ieść i obietnicami tylko odziewać się mogą.

RYSZAD.

Oy moy oycze! bynaymniey im to nie zaprzątnie głowy, czyś ty iadł dzisiay, albo nie. Doświadczyłem tego cze-

kaląc o moim chlebie całe pòł roku przyrzeconey mi funkcyi. Dziś obiecywano mi strażnikowstwo w Komorze, iutro miałem bydź Rewizorem przy soli, za tydzień czyniono mi iuż pewną i niezawodną nadzieię... a czego?... Oto tego żem nic nie wskorał. Zawakowała iedna funkcya, iuż była obiecana komu innemu, do drugiey spoźniłem się o kwadrans tylko, trzecią zaspokoiono natrętnogo kredytora, czwarta poszła w nadgrodę attencyi iednego podchlebcy, piątą zakupiono kryskę w Parlamencie, szosta, siodma, osma... i aż do dwudziestu, wszystko mnie to minęło, a zawsze mi obiecywano. Tak tedy śpiąc przez pòł roku, ocknąłem się nareście, skończył się moy sen przyiemny, i poznałem dopiero na iawie, że moy Hrabia zamiast o mnie myśleć, cały ten czas strawił na staraniu się u dworu o funkcyą dla siebie samego.

ROBERT.

O moy Ryszardzie, widząc tedy z

twoiego przykładu, że cnotliwe obyczaie i prosta rzetelność, bardzo mało maią zalety u Panów.

R Y S Z A R D.

Obyczaie i rzetelność mogą wam posłużyć do wykierowania się... na piwnicznego naprzykład, ale nic więcey. Jeżeli zaś chcecie wyżey postąpić, trzeba wam się wcale w inne usposobić przymioty. Trzeba umieć powtarzać do tonu: tak, lub nie; na naymnieysze skinienie kręcić się iak na kołowrocie, stać, albo wyniść, milczeć lub gadać, chwalić czy ganić. Umieć na pamięć wszystkie wyrazy podchlebstwa, wszystkie plotki całego miasta. Rezonować, dyssymulować, udawać iunaka gdy każą, tchórza kiedy potrzeba... a naypierwey własnemu sumieniu wieczne nakazać milczenie. Oh! co w ten czas możecie się spodziewać, że wyydziecie z czasem na człeka.

H E N R Y K.

Ale iak uważam, Pan Ryszard za-

pomina wcale, że i ia iestem dworskim człowiekiem?

RYSZARD.

Proszę mi wybaczyć Mcspanie! Jeżeli to opisanie dworów niepodobał się W Panu dla tego że iest prawdziwe, to nie moia wina. Przyznaię ia, że i tam znayduią się bardzo poczciwi ludzie, i chcę wierzyć że W Pan iesteś z tey liczby.

HENRYK.

Dziękuię ci przyiacielu, za to dobre o mnie rozumienie, i daię ci słowo, że gdy zechcesz znowu do Londynu powrócić droga twoia nie będzie daremna i wkrótce się szczęśliwym zobaczysz.

RYSZARD.

Dziękuię uniżenie W Panu. Już nie mam ochoty powracac więcey do miasta.

FERDYNAND.

Tak moy Ryszardzie, nie spuszczay się nigdy na Panow wielkich. Siedź raczey w domu i uprawiay swoy kawałek roli. Szczupłą cząstkę ziemi dostaniesz po moiey śmierci, ale dobrem prawem na-

bytą. Nie wydarłem iey nikomu, nikt ci iey też wydrzeć nie może. Żyy zawsze z ludźmi niższemi, a uciekay od miast stołecznych. To czegom się napatrzył w Londynie, przekonało mnie dokładnie, że i naylepszy człowiek musi się zepsuć tam, gdzie wszystko na opak idzie.

HENRYK.

Coż to tak złego przyiacielu, widziałeś w stolicy, coby ci się niepodobało.

FERDYNAND.

Com widział? . . . O Mospanie, widziałem tam bardzo wiele rzeczy. Widziałem wspaniałe domy, ale żadney w nich gościnności. Widziałem wielkich ludzi, bardzo małe rzeczy robiących. Widziałem po ulicach ekwipaże kosztowne, a u rzemieślników regiestra od lat 10 niezapłacone. Widziałem polityków kaffenhauzowych dyktuiących prawa Narodom. Widziałem Traiedye pocieszne, a smutne Komedye, nabożeństwo na Operze, a igraszki w Kościele, wiele pychy u Panów, a mało przy-

miotow

miotow, zdraycow na urzędach, a poczciwych ludzi pod murem . . . Słowem, widziałem świat do gòry nogami. — Ale otoż i nasza kucharka.

SCENA VII.

CIŻ SAMI i MAŁGORZATA,

(z ścierką zapasem.)

MAŁGORZATA.

Proszę przeyść do naszego alkierza, tam nakryłam stoł i iuż wieczerza gotowa. Będziemy mieli leniwe pierożki, kaszę iaieczną i dwa spore kuraki. A dla Jegomości małdrzyki mi się udały gdyby pomarańcze. Jam się tego nauczyła smażyć, kiedym ieszcze pokoiową była u kuchmistrzowy iednego Xiążęcia. Była to bardzo ładna Pani, Xiążę sam kochał się w niey na zaboy i pod pretextem małdrzykow bywał u niey ledwo nie codzień. Jam to zawsze widziała iak oni się z sobą schodzili, ale broń

Boże, ani słowa nie wspomniałam przed mężem; bo to bardzo dobre było pańsko ten Xiążę, nieraz i mnie się naściskał swawolnik, kiedy Pani nie zastał w domu. O, bo i ia kiedyś byłam też niczego, i cały dwór prawie zamną się uganiał. Ale iakem oto poszła za moiego, to człowiek zaraz przy tym gospodarstwie....

FERDYNAND.

No, no, no, obeydzie się Jegomość bez wiadomości naszego pożycia. Idźmy wieczerzać. Proszę Mości Panie, ziemy co Bòg dał, a potym się W Pan położysz, i wypoczniesz sobie po drodze.

MAŁGORZATA, *(bierze świecę ze stołu.)*

Służę Jegomości, a przy wieczerzy opowiem mu resztę moiego życia. Robercie prosiemy z sobą. *(odchodzą.)*

FERDYNAND, *(który pozostaie.)*

Ryszardzie, ty potym poydziesz, idź pierwey do komory, i pościel mu łòżko Wyymiy moią pierzynę, i weź matczy-

ne poduszki, bo to ten dworski delikacik nie usnąłby na twardym posłaniu. My tę noc i na słomie prześpiemy, a iemu trzeba uczynić wygodę. Ktòż wie, może on się za nami przyczyni do Kròla, a choćby nawet i niechciał nam za to odwdzięczyć, popowinnością iest poczciwego człowieka nieodmawiać przytulenia bliźniemu.

(Odchodzą Ryszard do komory, a Ferdynand za drugimi.)

KONIEC AKTU II.

AKT III

Teatr reprezentuie tę samą dekoracyą co w pierwszym Akcie. Dzień zaczyna się rozwidniać.

SCENA I.

FERDYNAND, RYSZARD,

(wychodzą ubrani z fuzyami na plecach.)

FERDYNAND.

Po twardych pierogach i kwaśnym cienkuszu nasz gość śpi gdyby zabity. Niech sobie spoczywa, a my Ryszardzie poydziemy tym czasem niżeli rosa opadnie obaczyć, ieżeli nasze zwierzęta nieprzeniosły ſię gdzieindziey w nocy.

RYSZARD.

Ale coż to ieſt moy oycze, że Królewſkich myśliwych dotąd niewidać z ſieciami? Już dobrze na dzień, a iak przed

wschodem słońca nie obstawią kniei, to się wszystkie zwierzęta rozeydą, i Król będzie markotny, że nadarmo przyiedzie w te strony.

FERDYNAND.

Po wczorayszey burzy przemokło to tałałaystwo, i śpi zapewne na umor, albo też rozgrzewaiąc zaziębione członki, popili się iak bele porterem, to im się ieszcze ciemno w oczach wydaie, bo to u nich codzienna litania. Ale mnieysza oto kiedy przyiadą byle tylko mieli na co polować. Ną poydziemy Ryszardzie.

RYSZARD.

A przy naszym gościu nikogo] to niezostawicie? Jak wstanie, nie będzie wiedział gdzie się obrocić.

FERDYNAND.

Mowiłem moiey babie, żeby mu śniadanie ugotowała. Robert wychędoży iego suknie, aby miał wszystko czyste iak wstanie... Ale, ale, a twoia Betsy

iak się ma, czy widziałeś ią wczoray?

RYSZARD.

Byłem u niey iakeśmy wstali odwieczerzy. Nie chciała się wcale pokazać temu dworakowi. Oyciec mi mowił, że całą noc płakała i oczu nawet zmrużyć nie mogła. Musiała iuż wstać teraz.

FERDYNAND.

Nieboga dziewczyna, wstydzi się sama przed sobą. Ale cóż robić? Już to są rzeczy nigdy nienadgrodzone. — niewiem co za przeklęty magnes ci młodzi panicze muszą mieć w sobie, że nasze kobiety lgną do nich iak zagorzałe. I moia stara Małgorzata (Boże odpuść choć to twoia matka) uważałeś iak się wczoray przyczepiała do naszego gościa. Już dobrze po północy było, a ona mu i plotła i plotła swoie androny. A iak się to babsko uwiało, kręciło i krygowało po izbie, dalibòg musiałem się śmiać w duchu. Oy gdyby tak lat dwadzieścia nazad, podobno bym dziś niewstał był z tak letką głową! Ale Idźmy, bo iuż

słońce niezadługo się pokaże. Póydziedziemy nayprzòd w tę stronę gdzie sarny. *(odchodzą.)*

SCENA II.

LURWELL, i CZTERECH ŻOŁNIERZY.

LURWELL, (*wychodząc misternie z krzewiny patrzy za odchodzącym Ferdynandem.*)

Wyśmienicie... poszli w las obydwa, i niezostawili w domu tylko same kobiety. Teraz łatwo wpaść możemy, i porwać tę hultaykę, ktòra nam tyle kłopotu wczoray narobiła. Ale nie na tym koniec; temu szumnemu Panu Strażnikowi muszę należycie skòrę wytrzepać. Teraz moi przyiaciele tak nam sobie trzeba postąpić. Ja dam znać Milordowi, ktòry na mnie czeka we młynie, że Strażnik poszedł z swoim synem do lasu; powròciemy tu oba, i wsadziwszy Jmość Dobrodzieykę w karetę dobrze zamkniętą, daley znią do portu, a iutro fort do Ameryki w niewolą.

Wy tym czasem ſtaraycie ſię obſtąpić w leſie ſtrażnika z iego synem. Zwiążcie im wkiy ręce i przyprowadźicie ich tutay. Dopiero w obecności Pana nauczemy hultaiòw moresu, niech znaią co to Panowie. Ale oſtożnie ſię iednak do niego zbliżaycie, bo ta zuchwała beſtya, gotòw ktòremu z was w łeb wypalić z swoiey ruśnicy. Rozeydźcie ſię wszyscy po ſtronach, a potym niespodzianie w padniecie na nich.

ŻOŁNIERZ.

Ale Mospanie ia ſię obawiam, aby nas w regimencie nieſkarano za takie gwałty.

LURWELL.

Czyś szalony moy bracie. Alboż Milord, ktòry ieſt Szefem twoiego Regimentu pozwoli wam iaką krzywdę uczynić? Wielki wyſtępek, że iednemu drapichroſtowi ſkòrę wytrzepiemy. A od czegożby Panowie wielcy byli Panami na świecie, gdyby im niewolno było po-

dobnych gałganów iak bydlęta iakie mordować? Czy podobna znieść taką zuchwałość? Wszak to ten obszarpaniec, który nie wiem czy ma dwie włoki gruntu, śmiał moiemu Panu w oczy powiedzieć, że on tak dobry człowiek iak Milord! O! powywieszać by trzeba takich gałganów.

ŻOŁNIERZ.

Ale Mości Panie, gdyby wszystkich ubogich powywieszano, cóż by się też z W Panem stało, który także podobno nie iesteś wielkim Panem?

LURWELL.

O, to co innego. Ja.. ia.. iestem.. iestem ale to nie na twoią głowę. Nączyńcie tylko co wam roskazano, my odpowiemy za wszystko. Sprawcie się dobrze, a nadgroda będzie sowita. Biegaycieno prędzey bo wam gdzie zginą w krzewinie. *(żołnierze odchodzą. (sam)* Poczekayno Panie Ferdynand Kokl! Strażniku lasów Królewskich, będziesz mnie ty inaczey śpiewał iak cię ro-

zciągną gdyby niedzwiedzia na ziemi, Sam własną moią ręką wpakuię mu 200 bizonuw za moie dwieście Gwineów, ktòrem z iego łaſki utracił. Ani iednego mu niedaruię na honor. Kupiłem sobie umyślnie bizun wsześcioro pleciony, a dla zbiegłey dobrodzieyki namoczyłem we młynie 12 miotełek.. Ale cicho Ktoś zdomu wychodzi... umykaymy, aby nas niewidziano. Lecę co prędzey po Milorda, teraz właśnie będzie moment porwać ią z tąd bezpiecznie. *(odchodzi.)*

SCENA III.

HENRYK, MAŁGORZATA.

HENRYK.

Moia Matko, chcę ſię troche przeyść po świeżym powietrzu.

MAŁGORZATA.

Proszę wybaczyć Mości Panie, że mi ſię dziſiay poleweczka trochę nie udała

Jayko musiało bydź zatęchłe. Ale ieżeli, tu Jegomość do obiadu u nas zabawisz, to mu zrobię wcale nową potrawkę, ktora mu się zapewne spodoba.

HENRYK.

Czas mi dłużey niepozwala u was bawić moia gosposiu, iednakże za wszystkie wasze dla mnie gościnności będę wam umiał bydź wdzięcznym. Poszukaycie tylko teraz waszego męża, bo chciałbym, żeby mnie ieszcze przed wschodem słońca zawiosł do Mansfield.

MAŁGORZATA.

Musisz Jegomość zaczekać chwilkę, aż powroci do domu. Wyszedł równo ze dniem obeyść stanowiska, żeby Króla mògł prosto na zwierzynę pewną naprowadzić. Ale spodziewam się, że nieza bawem nadeydzie.

HENRYK. (*na stronie.*)

Muszę iaki moment postać na wielkim gościńcu, ieżeli kogo z moich dwor-

ſkich niezobaczę przeieżdzaiącego. (*do Małgorzaty.*) Idźcie matko do swoiego gospodarſtwa, a ia ſię tu trochę przeydę nad rzeką nim Pan Strażnik z kniei powròci.

MAŁGORZATA.

Bardzo dobrze, niech Jegomość czyni co mu ſię podoba, a ia tym czasem pòydę moie kròwki wydoić (*odchodzi i zaraz powraca.*) Ale, ale, proszę Jegomości, żebyś ztąd nieodieżdzał niepożegnawszy ſię zemną, bobym ſię bardzo gniewała.

HENRYK.

Obaczemy ſię ieszcze z sobą.

MAŁGORZTA.

Bo ia Jegomości bedę bardzo proſić o iedną łaſkę. (*odchodzi.*)

HENRYK.

Dobrze, wszyſtko uczynię dla was.

MAŁGORZATA, (*wracaiąc się.*)

Albo też wolę iuż od razu oświadczyć Jegomości moie żądania, pòki niema w

domu moiego, bo to przy tym ſtarym gdyraczu, człowiek nic zrobić niemoże.

HENRYK.

Còż to takiego powiedzcie mi poufale moia matko.

MAŁGORZATA.

Tylko bo niewiem... czy to bydź może ... to będzie zapewne bardzo trudno dla Jegomości....

HENRYK.

Zobaczemy. Chcieycie tylko przełożyć wasze żądania.

MAŁGORZATA.

Oto, iabym chciała, żebyś mnie Jegomość... ale to ani myśleć o tym.

HENRYK.

Nąż còż przecię? mòwcie.

MAŁGORZATA.

Oto, żebyś mnie Jegomość... żebyś mnie prezentował Krolowi iak tutay przyiedzie.

HENRYK.

Chętnie bardzo. Będziecie go zapewne widzieli.

MAŁGORZATA.

Ale czy będę ia mogła przyftąpić do niego? może on niezechce ze mną rozmawiać?

HENRYK.

I owszem. Król ze wszyftkiemi poddanemi rozmawia, i wolno wam bedzie tak poufale z nim mowić iak zemną teraz.

MAŁGORZATA.

Czy to podobna? Ah! cóż to za dobre Panifko bydź mufi ten nasz Król? Jeżeli fię wam dobrze uda polowanie, a WPan zobaczysz że Król będzie w dobrym humorze, to przyczyń fię proszę za nami, żeby nas Król wziął z tey smutney pustyni, i żeby nas u swoiego dworu ulokował. Moy mąż mogłby bydź naprzykład nadwornym ftrzelcem, i iabym fię zdała choć za kucharkę do Królewfkiey

kuchni. Proszę bardzo, uczyńże to W Pan a ia za tę łaſkę codziennie W Panu świeże małdrzyki przynoſić będę.

HENRYK.

Przełożę ia to Królowi, i spodziewam ſię że uczyni zadosyć waszemu żądaniu.

MAŁGORZATA.

Moy mąż zapewne niezechce służyć na dworze, bo on iak diabła nienawidzi dworaków, ale Król niechay nato nie zważa, i niech mu surowo przykaże. Ja niepoymuię co u tego ſtarego nudziarza w głowie? Cała iego zabawa z niedzwiedziami kompania. Nie wolę ia żyć u dworu? Ah! co to tam za damy piękne, iakie ſtroie, iaka parada, iakie czuby na głowie! a naybardziey iakie śliczne chłopcy! gdyby lalki wysmukłe Oh! do tychczas zapomnieć nie mogę, żem zamłodu była u dworu. Zdaie mi ſię, że wmieście byłoby mi weseli nawet umierać.

HENRYK.

Kiedy wam się tak bardzo dworskie życie podoba, daię wam słowo, że tam ieszcze dzisiay będziecie.

MAŁGORZATA.

Doprawdy? czy nieżartuiesz Jegomość?

HENRYK.

Na honor wam to przyrzekam.

MAŁGORZATA.

Ah! niechże Jegomości za to uściskam serdecznie. (*porywa za szyię i całuie.*) Oy teraz dopiero zupełnie szczęśliwą zostanę. (*na stronie.*) Pòydę czemprędzey ułożyć moie manatki, i dobędę moy garnuszek z pieniądzmi, ktòrem sobie w lesie zakopała. Nayniższa sługa Jegomości. Ah! do dworu, do dworu czem prędzey. (*odchodzi z radością.*)

SCENA IV.

HENRYK. (*sam*)

NIema człowieka na świecie, któryby ze swoiego stanu był kontent. Ten, któremu nędza doskwiera, zazdrości Królowi iego dostatków, ale ah! iak wielu Królów zrzekli by się berła i tronu, aby wspokoyności ostatki życia przepędzić! — Ta uczciwa familia warta iest lepszego losu. Strażnik ten zasłużony w woysku, pokrzywdzonym został przez iego kommendantów. Dochodzić tey prawdy otwarcie, byłoby to narobić mu głownych nieprzyiacioł u dworu, do którego chcę aby się przeniosł. Trzeba mi zaim tak sobie postąpić aby zyskuiąc szczęśliwość, nieutracił spokoyności, która iest naypierwszą szczęścia zasadą. Niedam mu żadnego woyskowego dostoieństwa, aby nieobrocić na niego oczu zazdrosnych iego Jenerałow. Umieszczę

go w cywilnym urzędzie, i ſtarać ſię będę, aby dochody iego, zatarły w nim pamięć krzywd znieſionych. — O iak wielu może nieszczęśliwych w mym Pańſtwie, ięczy na cudzą niesprawiedliwość, o ktòrey ia wiedzieć niemogę! Boże! dla czegòż to Kròlom, ktòrzy uſtawnie nad uszczęśliwieniem ludu czuwać powinni, dla czego im niedałeś wzroku tak byſtrego, aby w każdym zakącie ich Pańſtwa mogli widzieć iſtotną prawdę! — Ale zdaie mi ſię, że widzę moich dworzanòw.

SCENA V.

HENRYK, TRZECH MILORDOW i DWOCH GAIOWYCH

(ktòrzy ich prowadzą.)

I. Gaiowy.

Hola hey! Panie Kokl! a wyidźcie no tu Waszeć. Prowadziemy wam całą bandę hultaiòw, ktòrycheśmy wczoray na uczynku złapali.

Henryk, (*ze śmiechem.*)

A iak się macie Milordowie. Jak widzę zostaliście złodzieiami, czy też rozboynikami leśnemi?

Pierwszy Milord.

Ah! Nayiaśnieyszy Panie! co za szczęście, że W. K. Mość znayduiemy w tym mieyscu.

Drugi Milord.

Ponieśliśmy tey nocy bardzo wiele niebespieczeństwa i niewygody, ale zapominamy łatwo wszystkiego, kiedy mamy tę roskosz oglądać W. K. Mość w dobrym zdrowiu, i w tak dobrym humorze. Prawdziwie, całą noc przemyśleliśmy o W. K. Mości.

Henryk.

Spałem dosyć wygodnie w tym oto domostwie. Rozstawszy się z wami, tak daleko za zwierzem w las zapędziłem się, żem się zupełnie obłąkał w gęstwinie. Byłbym może całą noc prze-

pędził na deszczu, gdyby mnie był Strażnik nie napotkał. Nocowałem u niego.

I. Gaiowy. (*do drugiego.*)

Toż to maią bydź Milordowie, ktòrychesmy wzięli za strzelcòw?

II. Gaiowy.

Ato ma bydź Krol Nayiaśnieyszy? Oy będziesz nam licho!

Henryk.

Jak miarkuię, ci ludzie musieli was także w nocy napotkać, i zapewne wzięli was za leśnych włoczęgòw?

Pyerwszy Milord.

Nieinaczey, Nayiaśnieyszy Panie! wzięli nas za kradnących zwierzynę W. K. Mości, i właśnie teraz chcieli nas prowadzić do Sądu.

I. Gaiowy.

Przepraszamy pokornie JW. Panòw. Niedziwota że człowiek w nocy dobrze nie widzi. Rozumieliśmy praw-

dziwie Miłościwy Panie! że sam Panowie czychaią na dobro wasze, bo ia słyszałem nieraz w Londynie, że nikt tak Kròla nie kradnie, iak iego dworzanie. Otoż to myśmy rozumieli, że Ichmość są strzelcy, co ponocy biią nam sarny. Zgrzeszyliśmy to prawda, ale Panowie uczynili nam krzywdę, bo nas wzięli za zboycòw leśnych, i chcieli nam oddać wszystkie pieniądze, byleśmy im życie darowali. Tak więc wszyscyśmy się nie poznali na sobie. Niechże tedy będzie kwita iedno zadrugie. Wszak bez tego Miłościwy Panie! tak powiada przysłowie stare: że w nocy wszystkie koty szare.

HENRYK.

Przez wzgląd na pilność w powinności waszey, spodziewam się, że Milordowie daruią wam swoią uraze.

MILORDOWIE, (*razem.*)

Z całego serca Nayiaśnieyszy Panie

II. GAIOWY.

Dziękuiemy Jchmościom za przebaczenie.

I. GAIOWY, (*kłaniaiąc sie Milordom.*)

I my także przebaczamy, żeście nas Jchmoście zboycami nazwali.

HENRYK. (*do Gaiowych.*)

Pospieszcie teraz do moiego dworu z oznaymieniem, że tu się znayduię. Niechay całe myślistwo ściąga się w to mieysce. Dzisiay od tey kniei zaczniemy polować.

I. GAIOWY.

Biegniemy co tchu Miłościwy Panie. (*odchodzą.*)

HENRYK.

Podobna omyłka i mnie się zdarzyła. Strażnik tu mieszkaiący rozumiał mnie bydź dworzaninem Królewskim. Dla moiey uciechy, nie przyznałem mu się kto iestem, i bardzom z tego kontent, bom się dowiedział wiadomości, o któ-

rych bym w zamku moim niesłyszał nigdy (*Tu słychać* Kokla *wrzeszczącego w lesie.*)

Nieprzystępuycie bliżey do mnie, bo w łeb ktoremu zapalę!

Henryk.

Coż to za hałas?.. zdaie mi się, że kogoś napastuią w lesie.

SCENA VI.

HENRYK, MILORDOWIE, FERDYNAND, RYSZARD, CZTERECH ŻOŁNIERZY *z bronią, potym* ROBERT, MAŁGORZATA, BETSY, *nakoniec* MILORD, LURWELL, i DWOCH GAIOWYCH.

Ferdynand i Ryszard.

(*wypadaią z lasu i stawaią na środku sceny. Żołnierze biegną za niemi z nadstawionemi bagnetami.*

Ferdynand, (*wymierzaiąc ku nim fuzyą.*)

Jeszcze raz powtarzam, nieważcie się mnie napastować, bo nie będę winien ieżeli ktorego trupem położę. (*spostrzega Henryka.*) Mospanie, świadczę się Wac-

Panem. Ci napaſtnicy chcą mnie łapać, niewiem dla czego i napadaią uzbroieni na mnie i syna.

HENRYK.

Coż ſię to znaczy?

ŻOŁNIERZ.

Mamy rozkaz związać ich i do Milorda Rydyng zaprowadzić. *(porywaią ſię znowu,)*

FERDYNAND.

Ey ubiię ktòrego iak dzika!

MAŁGORZATA, *(wypadaiąc z domu.)*

Coż to za krzyk?

HENRYK, *(do żołnierzy.)*

Nieważcie mi ſię napaſtować tych ludzi. *(żołnierze broń opuszczaią.)*

MAŁGORZATA.

Ah! co widzę? męża moiego iacyś zboycy opadli! hey Robercie, Betsy! przybywaycie!

ROBERT, (*wybiega trzymaiąc pałasz Milorda.*)

Coż to za gwałt Mościpanie?

BETSY, (*spostrzegaiąc Henryka,*) *zadziwiona do siebie.*)

Pzzebòg co widzę? Król tutay?

LURWELL, (*bieżąc przed Milordem z batogiem.*)

Jeſt tu, ieſt ptaszek Mospanie. Bierzcie go i rozciągniycie iak liſa.

MILORD, (*z pistoletem w ręku.*)

Podday ſię zaraz obieſiu albo natychmiaſt .. (*tu spostrzega Króla cofa się w tył przelękniony i upuszcza pistolet.*) Ah! miłościwy Królu! . . .

ROBERT, FERDYNAND *i* RYSZARD, (*zdziwieni chwytaiąc kapelusze z głowy.*)

Królu!

LURWELL (*cofa się w tył upuszcza kańczug, a żołnierze broń na ramie biorą.*)

MAŁGORZATA, (*do Betsy.*)

To ma bydź Król?

Betsy, (*do Małgorzaty.*)

Tak iest Krol, widziałam go nieraz w Londynie.

(*Tu milczenie długie. Wszyscy stoią w zadumieniu.*)

Henryk, (*do Milorda zimno,*)

Daley Mospanie. Coż cię wstrzymuie od wykonania zaczętego gwałtu? ... Człowiek ktory odważył się zdeptać prawa kraiowe, poważnieysze nad krolow samych, łatwo i Monarchę swoiego zelżyć potrafi, i w obecności iego dopełnić zbrodniczych zamiarow.

Milord.

Miłościwy Panie nigdym się niespodziewał, abyś W. K. Mość był tu przytomnym, zuchwałość tego człowieka była tak wielka....

Henryk.

Jak wielka iest w każdym człowieku, kiedy broni swoiey własności. Jakimże prawem napadłeś W Pan na dom iego?

M i l o r d,

Dnia wczorayszego tak obelżywym sposobem postąpił sobie ze mną. . .

H e n r y k.

Że ci się zabić niepozwolił, i dopełnić gwałtu w własnym iego mieszkaniu?

M i l o r d.

Nayiaśnieyszy Panie! iest to potwarz zuchwała. Nigdym na życie iego nie nastawał.

H e n r y k, *(biorąc pałasz od Roberta i pokazuiąc go Milordowi.)*

A tenże oręż czyy iest? na kogo był dobyty? kto go tu zostawił? — O nierozsądny młodzieńcze. Na toż to przodkowie twoi odebrali niegdyś od Oyczyzny ten znak szlachectwa, aby go ich prawnuki przeciwko własnym obrócili rodakom? I ieszcze po tak czarnych czynnościach, będziesz się śmiał z urodzenia twoiego wynosić?

MILORD.

Ale ten pałasz... przez przypadek... upuszczony w tym mieyscu..

HENRYK.

Przestań szalbierstw do zuchwałości przydawać. Próżne są twoie wymówki, wiem iuż o wszystkim.

MILORD, (*klękaiąc przed Królem.*

Miłościwy Panie, racz mi darowć, że przez prędkość..

HENRYK.

Wybaczam ci występek przeciwko powadze moiey; daruię ci ieszcze karę za gwałt, ponieważ szczęściem dla ciebie, nie został spełnionym. Ale ci darować nie mogę krzywdy, którąś ludzkości wyrządził. W stań i spoyrzyy na tę panienkę. Czy znasz ią? Możeś iey nigdy w życiu twoim niewidział?

MILORD.

Ponieważ iuż wszystko iest wiadome W. K. Mości, przyznaię się, że przez

pòł roku miałem z nią znaiomość, i nie które małe, nic nieznaczące. . . miłosne intrygi. . . sprawiły. . . .

H e n r y k.

Małe, nic nie znaczące intrygi? — Powiedz raczey, podłe, hańbiące intrygi — Milordzie, czy rozumiesz że wielkość dostoieństw służyć powinna Panom za płaszczyk ich zbrodni? że dla tego, iż są wielkiemi, wolno im bydź nieludzkiemi i niesprawiedliwemi? A przyrzeczenież małżeństwa które iey dałeś, czy także iest małą, nic nieznaczącą intrygą?

M i l o r d.

W pierwszym żapale miłości zdawała mi się bydź godną tego zaszczytu, ale..

H e n r y k.

Jeżeli ci się taką na ów czas zdawała, upewniam że teraz tym godnieysza iest twoiey ręki. Dowiedziałem się bowiem, że z krwi szlacheckiey pochodzi, i oyciec iey przez nieszczęście tylko podupadł.

Rozumiem iż znaydziesz w sobie ieszcze tyle cnoty i zaślubisz ią w przytomności moiey.

M i l o r d.

Ale miłościwy Panie? chciey W. K. Mość zważać na to, że familiia moia tak wielka i do naywyższych podnieſiona urzędów. . . Stryi moy. . .

H e n r y k.

Ludzie choćby na naywyższych zoſtawali urzędach, ſkoro poniżaią ſię do czynów podlących ich wielkość, obnażaią ſię sami z zaszczytów swoich. Familiia twoia chociaż znakomita w tym pańſtwie, nie różni ſię przecież w szlachectwie z tym poczciwym człowiekiem. A ieżeli dla tego że ieſteś bogatym, sądzisz ſię bydź godnieyszym nad innych? . . to więc i ten łotr zuchwały, któryby, ci przemocą wydarł twoie ſkarby, byłby na ów czas szlachetnieyszym nad ciebie? — Nie Milordzie. Prawdziwa wielkość człowieka, zależy od wielkości spraw iego. Nieupodlisz ſię więc zaślu-

biaiąc tę pokrzywdzoną przez ciebie szlachciankę, i ia ci rozkazuię, abyś to uczynił.

Betsy, (*padaiąc do nóg Królowi.*)

Miłościwy Monarcho! niechay łzy moie będą powodem wdzięczności za te dobroczynne względy twoie, na które nie zasłużyłam bynaymniey. Ale pozwol mi W. K. Mość nieprzyymowac ręki tego przewrotnego człowieka, który mną wzgardził dla tego, żem go zbyt wiele kochała. Nie, nigdy żoną iego nie będę. Człowiek który potrafił chcieć zaprzedać w wieczną niewolą kochankę swoią, z żoną do którey mieć będzie prawo, obchodziłby się iak z naypodleyszym zwierzęciem. Poznawszy czarność duszy iego, wolę umierać w ostatniey niedoli i hańbie, niżeli dzielić z nim naywiększe bogactwa. (*oddaiąc papier.*) Składam w ręku W. K. Mości, to świadectwo zbrodni iego i moiey łatwowierności. Niech go odbierze, niech się zawstydzi czytaiąc wyrazy swoie, a

ieżeli-

żeli ieszcze poprawić się może, niechay ta ostatnią iuż będę ofiarą nierządów iego. Całą nadgrodą nieszczęśliwości moich niech to dla mnie zostanie, żeby o mnie zapomniał na zawsze.

HENRYK,

Patrzay do iakiego upodlenia przywiodły cię bezwstydne twoie występki, kiedy iedna nayuboższa dziewczyna gardzi tobą, a która iednak kochała cię w ten czas, gdy cię bydź cnotliwym sądziła (*do Betsy.*) Moie dziecię niechcę ia bydź przyczyną nieszczęśliwości pożycia twoiego. (*do Milorda oddaiąc mu papier.*) ¡Odbierz nazad ten dowód wspaniałości i ey duszy, a szalbierstwa twoiego. Przykazuię ci tylko, abyś w nadgrodę iey krzywdy, uczynił iey natychmiast zapis wypłacania corocznie aż do śmierci, 1000 funtów szterlingów. Temu zaś poczciwemu Starcowi, abyś wybudował młyn nowy, i całe iego gospodarstwo do dawnego przywrócił stanu.

Robert, (*padaiąc do nóg.*)

Niechay, Nayiaśnieyszy Panie! odbiorę tylko to, com utracił z iego przyczyny, wstydziłbym się bowiem przyimować dary od tego, który mnie wieczystą hańbą przyodział.

Henryk,

Nadgroda pokrzywdzonym, a kara występnym należy. (*do iednego z Milordów.*) Milordzie! Niechay ci żołnierze, którzy ważyli się dopomagać gwałtów temu rozpustnikowi przykładnie ukarani zostaną; ten zaś usłużny koniuszy, niechay na rok do domu poprawy oddany będzie. (*ieden z Milordów daie znak żołnierzom, którzy otaczaią Lurwella i wychodzą.*)

Ferdynand, (*podnosi kańczug i oddaie go iednemu z żołnierzy.*)

A niezapomniycież przecie tego dystynktoryum iego staienney powagi, może się teraz zda tam i na niego.

Milord, (*padaiąc do nóg Króla.*)

Sprawiedliwy Królu zasłużyłem i ia

na karę surową, ale przez wzgląd na żal moy szczery i obietnicę zupełney poprawy, daruy młodości moiey, i przywròć mi dawny szacunek.

HENRYK.

Dla zasług stryia twoiego, daruię ci ten raz ostatni, niechcę nawet, aby ten poczciwy starzec wiedział o tym przypadku; mògłby on przynieść zgryzotę starości iego Wstań, a pamiętay: że tylko, dobre obyczaie, miłość Oyczyzny i ludzkość, są prawdziwym dowodem szlachectwa.

BETSY.

Miłościwy panie, niechay mi wolno będzie ieszcze iedną prożbę zanieść do Tronu twoiego. Ten zapis ktòryś mi W. Królewska Mość łaskawie przysądzić raczył, rozkaż, aby wydany był na osobę tego poczciwego młodzieńca, ktòry tyle przezemnie ucierpiał. Ustępuiąc mu tey nadgrody moiey, obym w nim zatrzeć potrafiła pamięć wszystkich boleści i uczynić go zupełnie szczęśliwym!

RYSZARD.

Ah! ta wspaniała uczynność, zagładza na zawsze wszyftkie przewinienia twoie! Wracam ci nazad me serce, i oddaię ci rękę moią, ieżeli cię to uszczęśliwić może.

BETSY.

Nie Ryszardzie. Niewartam abyś mi przebaczył, i niemożesz mi przebaczyć. Jeżeli iednak żal i pokuta uczynią mnie z czasem godną twoiey miłości, wtedy nie będę fię wftydziła daru ręki twoiey.

RYSZARD.

Ah! nigdy cię nieodftąpię do śmierci.

HENRYK.

Sercom waszym rozkazywać nie ieft w moiey mocy. Moie dzieci, czyńcie co wam uczucia wasze doradzaią.

FERDYNAND.

Ną teraz na mnie koley. (*klękaiąc przed Kròlem.*) Miłościwy Panie, tyle łaſkawości, ktòrey tu W. K. Mość tak

wielkie dałeś dowody, spodziewać mi się każe, że i mnie darować raczysz, iż tak po grubiańsku postąpiłem sobie z W. K. MoścNo dzisieyszey nocy. — (*Henryk dobywa szpady, a Ferdynand porywa się przestraszony.*) Ah! Miłościwy Panie! nie zasłużyłem zdaie mi się na tak srogą karę?

H e n r y k.

Zostań na kolanach i nie obawiay się niczego. Tak moy poczciwy Strażniku a teraz (*uderza go szpadą po ramionach.*) pasowany Rycerzu nie tylko niemam ci nic do przebaczenia, ale nadto czuię, że bardzo wielem ci winien. Odbierz więc nadgrodę zasług mnie tylko wiadomych, i twoiey gościnności dla mnie. — Milordowie! Ferdynand Kokl, iest teraz wielkim Łowczym moim, a dla utrzymania dostoyności tego urzędu, dziesięć tysięcy Gwineiów wyznaczam mu corocznie. Wstań i w pomyślności używay mych darów.

FERDYNAND.

Nayłaskawszy Monarcho, wdzięczność moia wraz się z życiem moim dopiero skończy. Wiakimkolwiek bądź stanie umieści mnie dobroczynność twoia, zawsze mnie równie wiernym, równie przychylnym sobie, znaydziesz poddanym.

MAŁGORZATA.

Ah! niechże nieba życie W. K. Mości w setne lata przedłużą (*ściska go za nogi.*)

HENRYK

Moia gosposiu dotrzymałem wam słowa. Widziałaś Krola, mowisz z nim i dziś ieszcze będziesz u dworu.

MAŁGORZATA.

O i ia także dotrzymam swego słowa, i iak tylko stanę u dworu, zaraz Pani Łowczyna wielka przyniesie wam świeże maidrzyki.

(*Tu słychać waltornie myśliwskie.*)

HENRYK.

Otoż i moie myśliwstwo. Zaczniymy wię polować, nim rosa opadnie. Pana Koklą uwalniam od tey fatygi, niechay się wybiera w drogę, abym go na moim dworze dziś ieszcze oglądał. Ryszard pokaże nam gdzie się zwierzyna znayduie. (*Henryk, Milordowie, Ryszard i cały dwor wychodzą. Słychać znowu waltornie graiące marsz myśliwski.*)

MAŁGORZATA, (*po odeyściu Króla.*)

A My, dali układać nasze manatki. Ną Robercie, na Betsy, pòydźmy, bieżmy, zabieraymy, pakuymy wszystko. .. a niezapomniycie moiey patelni od małdrzyków. Oy! do dworu, do dworu, czympredzey. (*Robert, Betsy, Małgorzata wchodzą do domu.*)

SCENA OSTATNIA.

FERDYNAND, *(sam.)*

(Stoi przez nieiaki czas zamyślony, nareszcie porywa się raptem.)

CZy ia śpię? czy to wszystko było na iewie?... Ale nie, ruszam się, chodzę! widziałem Krola, słyszałem go mowiącego, i czuię ieszcze uderzenie, ktoremi dał poramieniu.—. To więc i ia teraz iestem Panem całą gębą?..... Ták iest..... Ale o iak wiele przyczyn i w tey nowey szczęśliwości moiey, znayduię do zastanowienia się nad dziwacznym losow zrządzeniem! — Lat 20 dzwigałem karabin, służyłem wiernie Oyczyznie, wygrałem kilka bataliow, nie dano mi fenika w nadgrodę! Dałem Kro-

łowi kwaśnego cienkuszu i twarde łòżko w komorze, zostałem za to urzędnikiem wielkim, i do tego bogatym! — Prawdę widzę śpiewał moy Bakałarz:

W Swiątynie, w miasta na dwory,
Wszędzie niesłuszność się w krada:
Intryga idzie do gòry,
A zasługa upada!

KONIEC KOMEDYI.